№ 2. Warszawa, dnia 8 Stycznia (27 Grudnia) 1887 r. Rok VII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

ZWROT POKOJOWY.

W chwili, kiedy giełdy zagraniczne zniżkami kursów podsycały ogólną trwogę i zwłaszcza nad biednym rublem znęcały się niemiłosiernie; w chwili, kiedy gazety nie przestawały bębnić i trąbić na wojnę; kiedy wszystkie państwa podkręciły szrubę budżetu wojskowego; kiedy nawet niewinna Szwajcarya uznała za potrzebne przywdziać jakąś zbroję — po nad Europą przeleciał gołąb z różczką oliwną, niosąc przerażonym na rok nowy wieść pokoju. Jeszcze przed kilkunastu dniami chmurny widnokrąg rozpogodził się, a w promieniach jego słońca grzeją się i cieszą przeróżne twory ludzkie. I skąd wyleciał ów gołąb? Jak wszystko z —Warzina. Dojrzano go w Wiedniu, Paryżu i Londynie. Chociaż przemknął szybko a tu i owdzie spotkał podejrzenie, jest symbolem chwili obecnej i będzie nim, dopóki nie stopi się w prasie śnieżek, który spadł na jej łamy pod postacią wiadomości o przymierzu rosyjsko-niemieckiem.

O ile ta wiadomość, roznoszona prywatnie i niepotwierdzona urzędownie, jest prawdziwą, wyrokować nie będziemy, gdyż brak nam nawet tego „czucia" ze sferami dyplomatycznemi, którem się szczycą hodowcy kaczek dziennikarskich, puszczający w świat naiwny telegramy z „wiarogodnych źródeł." Zastanowimy się jedynie nad pytaniem: czemu ta i tej podobne wieści znajdują zawsze tak szeroką wiarę, jak żadna inna?

Bez szczególnej bystrości wzroku dostrzedz łatwo, że kanclerz niemiecki, który od lat kilkunastu nadaje rytm polityce europejskiej, wzmacnia swe stanowisko i działa z niego zapomocą sojuszów. Wojna francusko-pruska dała mu wawrzyny, dwie prowincye i pięć miliardów franków, ale nie zapewniła trwałego spokoju, pozostawiła rozjątrzonego, niepogodzonego ze swą hańbą i krzywdą a nadewszystko niebezpiecznego wroga, który wszystkie siły wytężył w kierunku zemsty. Pokonanie tego wroga w r. 1871 było prawie matematycznie pewnem, ale rozprawa odwetowa nasuwa ciągle mnóstwo wątpliwości. Grać ryzykownie ks. Bismark nie lubi, więc woli ubezpieczać się związkami, któreby przynajmniej ogołociły stronę przeciwną z wszelkiej pomocy. Jeżeli więc on kiedyś nazwał się „meklerem," godzącym spory, powstrzymującym starcia, zawierającym i ułatwiającym kontrakty, określił swoją działalność daleko wierniej i prawdziwiej, niż pierwotnie mniemano. Rzeczywiście jest on „meklerem" — potężnych. Jak dawniej wyrzekł, że cała Hercegowina nie warta kości jednego pruskiego grenadyera, tak teraz powtórzył, że równie drobnej ofiary nie warta Bułgarya. Gdyby te Hercegowiny, Bułgarye, Serbie itd. występowały do gry samoistnie, może czasem stanąłby po ich stronie, a w każdym razie wmieszał się do sporu; ale to są kości niezgody mocarstw wielkich, po co on więc sentymentalizmem dla słabych ma się narażać silnym? Przez cały też ciąg zawikłań wschodnich ks. Bismark zachowuje się całkiem obojętnie, a raczej uwzględnia interesy państw, których przyjaźń ma dla niego wartość. Po za bułgarami, serbami, bośniakami widzi on ustawicznie francuzów i widzieć ich musi. Gdyby raz wdał się czynnie w jakąś awanturę na półwyspie Bałkańskim, mógłby sobie ściągnąć tych nieproszonych gości, którzy go straszą we śnie i na jawie. Nie potrzeba go odgadywać, on sam szczerze wyznaje, że czułostkowość mu jest obcą, że jeden tylko ma przed sobą cel, jedną zasadę postępowania, jedną miarę moralną — interes Niemiec. Interes ten nakazuje mu: odrzucić wszelką ideologię, lekceważyć i poświęcać ludy drobne, a szanować państwa mocne, pozyskiwać jak najwięcej sprzymierzeńców a wyosabniać przeciwniczkę — Francyę. Metoda ta, niewątpliwie, wymaga pewnej zręczności, stosowaniu jej wszakże sprzyjają bardzo warunki. Niemcy z dwoma sąsiadkami, posiadającemi ważność pierwszorzędną, mają istnie wiele zamiarów i korzyści wspólnych; z drugiej zaś strony Francya objawia dziwny talent do bezładu i zmian, które same przez się uniemożliwiają wszelki sojusz zewnętrzny. Z wyjątkiem poczciwego prezydenta, który siedzi na krześle i tworzy coraz nowe gabinety, nie ma w rządach tego państwa ani jednego pierwiastku stałego, koniecznego dla zawierania i dotrzymywania układów międzynarodowych. Chociaż więc przez czas pewien błąkała się po gazetach plotka o przymierzu rosyjsko-francuskiem i chociaż dla takiego związku istniały z obu stron pewne pobudki, rozchwiał on się bez śladu i — jak dzienniki donoszą — ustąpił miejsca niemiecko-rosyjskiemu.

Powtarzamy — czy ten ostatni rzeczywiście splótł się, nie zgadujemy — zaznaczymy tylko, że leży on w logice polityki ks. Bismarka i dlatego tak odrazu weń uwierzono. Kanclerz niemiecki snuje ciągle sojusze i, zdaje się, przy tej robocie zakończy swe życie. Jest ona zapewne mniej śmiałą i genialną, niż rozbicie Austryi, zdruzgotanie Francyi i zjednoczenie Niemiec; ale jeśli obejmiemy ją wzrokiem w ciągu całego jej trwania, spostrzeżemy dziwny widok, mianowicie: w owym systemie przymierzy polityka europejska dopomaga niezmordowanie i ustawicznie ks. Bismarkowi do ubezwładnienia Francyi. Jest to jej cel bezwiedny, ale stały, jedyny, jaki wystaje z potoku wypadków

ostatniego piętnastolecia. Zaiste, kanclerz niemiecki może sobie powinszować skutków tego „meklerstwa,“ tej wody, która ciągle obraca koło jego młyna.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przesilenie ministeryalne w Anglii chwilowo zostało zażegnane. Wprawdzie lord Hartington spadku po Churchillu nie przyjął; natomiast jednak do gabinetu wszedł Goschen, finansista znakomity, poprzednio już minister za prezydencyi Gladstona. Niemniej wróżą dalszy ciąg zmian. Złożyłby tekę Iddesleigh. Wszystkie te zmiany wpłynęły na przedłużenie pobytu deputacyi bułgarskiej w Anglii. Dopokąd nowy gabinet nie porozumie się stanowczo co do programu, nie może naturalnie ani radą, ani przyrzeczeniami dopomagać ludowi bałkańskiemu. Podług niektórych korespondencyj, Anglia zachęca do ponownego wyboru księcia Battenberga. Trudno wierzyć tej pogłosce, gdyż wybór taki równałby się wyzwaniu, ani Anglia zaś, ani tembardziej Bułgarya nie mają chyba żadnych widoków, gdy sprawa na ostrzu noża stanie.

Francuscy mężowie stanu w przemówieniach noworocznych na wyścigi pokojową strunę potrącali. Boulanger i Goblet zapewniali, że nie ma powodu przewidywać rychłej i nieuniknionej wojny.

Cesarz niemiecki w dniu 1 stycznia obchodził jubileusz 80-letni swej służby wojskowej. Przy sposobności tej następca tronu dziękował swemu monarsze i ojcu za takie wychowanie armii i narodu niemieckiego, które staje się najpewniejszą rękojmią pokoju.

Ile ten zbrojny pokój Europę kosztuje, to inne pytanie; jak ciężkiem on jest brzemieniem i jak długo sił starczy na dźwiganie kolosalnych podatków — tej kwestyi oczywiście żaden z mówców dostojnych nie dotknął.

Wewnętrzna praca Prus ciągle jest wytężona przeciw socyalistom z jednej strony, przeciw polakom z drugiej. Stany wojenne, procesy i aresztowania tłumią socyalizm, wydalania — polskość.

Włochom grozi przesilenie gabinetowe. Ze śmiercią Minghettego prawica, oddana rządowi, utraciła swego kierownika i zdezorganizowała się, a lewica opozycyjna zyskała większą śmiałość i do zaczepek się gotuje. Przewidywane są zmiany w ugrupowaniu stronnictw.

W sprawach bułgarskich zamęt większy niż zwykle. Stronnictwo Rosyi przyjazne zamierza wysłać deputacyę do Petersburga, nie pierwej wszakże, aż otrzyma wiadomość, jak byłby ten krok przyjęty.

W sprawie wycofania wojsk angielskich z Egiptu prowadzą się między Wysoką Portą a gabinetem w Saint James układy, które wszakże dotąd nie doprowadziły do żadnego rezultatu.

Warte jest zaznaczenia doniesienie *Timesa* o przymierzu jakoby zawartem pomiędzy Niemcami a Rosyą; choć dotąd żaden objaw nie potwierdza tej wiadomości, to jednak zrobiła ona pewne wrażenie w prasie. Również mało podstawy mają niepewne wieści o wznowieniu przymierza trójcesarskiego. Gdybyśmy dzisiejsze stosunki europejskie mieli jednym scharakteryzować wyrazem, to nalepiej chyba nadawałoby się słówko: rozprzężenie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Drezno, grudzień, 1886.

Zakopani w śniegu. — Pamflet krakowski. — Europa jest jakobińską. — Gdzie mamy szukać ratunku?—Odezwa sokołów czeskich.

Czas jakiś byliśmy tu odcięci od reszty świata; przebyliśmy pewien rodzaj oblężenia; wrogiem, ktory nas opasał i nie dopuszczał ani ludzi, ani listów, był śnieg. Spadły takie masy jego i tak nagle, że trzech dni i nocy potrzeba było, zanimeśmy się z pod nich wygrzebali. Tymczasem zaś wrócono do komunikacyi pierwotnych; z Lipska naprzykład dostawano się do Drezna do pół drogi saniami, a dalej parostatkiem; z Warszawy listy i dzienniki przybyły tutaj dopiero na piąty i na szósty dzień po wysłaniu. Dziś już wszystko wróciło do dawnej kolei; pociągi krążą porządnie; ale ogromne zaspy śniegu leżą jeszcze, jako nieme świadki niezwykłego wybryku natury.

Wraz z zamiecią i wichrami spadła na nas z Krakowa broszura, a raczej książka, treści politycznej, mrożąca i ziębiąca więcej od śniegu: mówię o dziełku zatytułowanem „Między Rosyą a Niemcami, studyum wysnute z faktów znanych,“ Kraków, 1881, str. 232, w 12-ce.

Nie mogę wchodzić tu w rozbiór treści tego pamfletu. Ograniczam się zwięzłem podaniem ciągu myśli jego, powstrzymując się od uwag i polemik.

W przedmowie oświadcza nam autor, że „wyrwał sobie z duszy uświęcone wierzenia“ polskie. Po ich wyrwaniu, dodajmy, został czarnym pesymistą. „Polak, zdaniem jego, nigdy wolnym nie był; oddawna bowiem, przywykły nie rozumną wolą się rządzić, ale popędami, ujarzmionym on bywał, dzięki właśnie swej niesforności, namiętnościom i umysłowemu rozpieszczeniu, przez natury subtelniejsze i hartowniejsze, a więc przez własne kobiety, przez własnych żydów i niemców, a dalej przez innych.“

Dzisiaj za polaków uważać można tylko szlachtę, powiada autor; jej poświęca rozdział drugi i dochodzi do wniosku, iż ona, wszedłszy na tor „pracy organicznej,“ może sobie i ludowi „jaką taką przyszłość zapewnić.“ Ale to chyba właściwie *sobie* tylko, nie ludowi; bo rozdział następny dowodzi, że „społeczność polska nie zawiera żywiołów zdolnych utrzymać jej niepodległość,“ tembardziej, iż nikt na świecie nie ma w tem żadnego interesu. Rządy bowiem państw z Polską sąsiadujących są przejęte duchem jakobińskim. Po cóż im tedy polacy, którzy jakobinami nie byli i nie będą nigdy.

Jakkolwiek na str. 78 autor wyjaśnia nam, co przez jakobinizm rozumie, jednakże pospieszamy dodać, iż w ciągu książki nieco inaczej pojęcie to cieniuje. Jakobinizmem nazywa on po prostu wszystko, co na świecie nie jest ultra-katolickiem. Tu też leży cała waga pamfletu jego. Rozumuje tak: cała Europa — oprócz polaków i niemców katolików — jest jakobińską; sprzysięgła się ona na wytępienie społeczeństwa polskiego, jako nie-jakobińskiego; jeżeli więc pragniemy zachować się przy życiu, powinniśmy się stać ultramontanami; że zaś narodowość nasza nie posiada warunków dalszego istnienia, przeto zlać się powinniśmy z ultramontanami niemieckimi, aby ocalić, jeżli już nie plemienną, to po prostu ludzką (?) odrębność naszą. Kraj nasz zyskałby pod każdym względem „przy napływie niemców, pod niemieckiem zwłaszcza panowaniem“ (str. 169); a my, jeżeli już mamy zniknąć w mo-

---

2)

NOWA SZLACHTA.

FRAGMENT DRAMATYCZNY.

Wieloch (rozglądając się).

Tędy, nie tędy... kat tu drogę znajdzie.
Cały dzień boży chodzę. Mospanowie
Jaśnie wielmożni... czy wielmożni... nie [wiem.
Pan miłościwy kędyż tu zasiada?

Zborowski.

Cóż chcesz od niego?

Wieloch.

Wołano mnie — nie wiem
Za jaką sprawą.

Zborowski.

Ciebie? To pomyłka
Być musi. Któż ty?

Wieloch.

Ja? At sobie człowiek
Jako i drudzy.

Wojewoda.

A czyjżeś ty, chłopie?

Wieloch.

Już niczyj.

Zborowski.

Proszę. Komuż służysz?

Wieloch.

Bogu!
Królowi — potem Rzeczypospolitej.

Zborowski.

Przednio, do biesa. Więceś szlachcic?

Wieloch.

Jużci.
Jam temu nie rad, aleć król tak kazał
No i ostałem szlachcicem.

Zborowski.

Przedziwnie.

Wieloch.

Wy się śmiejecie, toć to co mnie gryzie,
Ludzie się śmieją i pany się śmieją,
Jużem jednemu obciął kawał nosa,
Drugiemu łapy nadszarpnąłem sporo,
Nic—po staremu, choć w kułak—bierz licho.
Gdy król na nową potrzebę zawoła,
Może przestaną.

Wojewoda.

Dobrze robisz bronią?

Wieloch.

Bronią nie robię, bom nie nauczony,
Idę, gdzie każą, biję, czem mam w garści.
Mówią: wleź chłopie na oną wieżycę,
Choć z niej kuliska sypią się, by z wora,
Zmówiłem *zdrowaś*, zrzuciłem sukmanę,
Wlazłem — i wszystką spędziłem hołotę.
I wzięli zamek, a król mię pochwalił,
A no, i za to zostałem szlachcicem.

Zborowski (śmiejąc się).

Ot krotochwila dobra na mięsopust,
To nowy zastęp paladynów pańskich.

Wojewoda.

Nie śmiej się waszmość, bo mnie nie do [śmiechu.
Ten nowy zastęp, to są siły nowe,
Któremi runie na nas.

Podkomorzy (do Wielocha).

Zaczekajcie.

(Odchodzi głębią).

Wieloch.

W polu człek śmielszy, tam śmierć wszy- [stkich równa.
Padał przedemną i Radziwił książe
I biedny Wojtko, daj mu niebo panie.
A jednakowo skonali chudziaki.
Tu ludzie hardzi—pachołek przy bramie
Dumnie się stawia. Oh, znowu się śmieją,
A niechże sobie... przestaną potrochu,
Jak pomiarkują, że mi na łbie rogi
Przez to nie rosną.

(Wchodzi Jan Bielecki głębią od króla).

rzu germańskiem, „tonąc w niem, lub w mgłę się rozwiewając," to będzie tylko dowodem, że „indywidualność nasza narodowa jest zbyteczną w ogólnej świata harmonii"; przecież „zniknęli grecy Peryklesa i rzymianie Katona"; więc może i z „polskiego pnia powstanie kiedyś naród żywotniejszy i szczęśliwszy" (str. 170). Tymczasem zaś wypada nam oswajać się z nieuchronną koniecznością zlania się z niemcami (str. 174); a obok tego szukać siły duchowej, którą znaleźć możemy jedynie „w murach broniącej się warowni kościoła," nie zapominając, że „katolik każdą faktyczną władzę, jako z Boga pochodzącą... uważać winien" (str. 183). Rzym da nam najlepsze wskazówki zachowania się nietylko politycznego, ale i prywatnego (str. 184).

Wszelkie bronienie się, prawne nawet, jest nierozważnem drażnieniem nieprzyjaciół. „Samo istnienie Koła polskiego (w Berlinie i Wiedniu) jest żywym, drażniącym protestem przeciw istniejącemu ustrojowi politycznemu... a zatem wobec Boga przeciw Jego wyrokom" (str. 195, 196). Czas więc rozwiązać „nieszczęsne to koło" i zmusić je do zlania się z centrum (str. 196). Środki, przedsiębrane przez rząd pruski przeciwko polakom, nie są ani tak bezprawne, ani tak gwałtowne, jak to wytrąbili jakobini nasi, zapominając, że przecież cały ucisk poszedł tylko od jakobinów pruskich. Ks. Dinder, to co innego; skoro go Stolica Apostolska mianowała, więc „będzie dobrym pasterzem" (str. 230).

Charakterystycznem i ostatecznie malującem poglądy autora jest zakończenie pamfletu. „Jeśli polacy więcej miłują swoje, tak zwane, narodowe ideały, niżli wiarę swoją, jeśli nie katolikami chcą być przedewszystkiem, ale polakami, wtedy pójdą na łup podmywającym ich falom i utoną w rozczynie powszechnego nihilizmu. Tak, katolicyzm *sans phrases* (trzeba zapewne czytać sans *phrase*), a z nim byt etniczno-narodowy i przyszłość, albo anarchizm lub fenianizm z dynamitem, a po za tem nicestwo; między temi dwiema drogami winni teraz polacy wybierać stanowczo."

Taką to nam „gwiazdkę" przysłał pobożny Kraków na święta...

Innym zupełnie głosem przemawiają „Sokoły" z Pragi czeskiej. Zamierzyli oni urządzić „zjazd wszech sokołów" w Pradze, w czerwcu 1887 r., jako w dwudziestą piątą rocznicę założenia sokołów praskich. „Stanęliśmy, powiadają w odezwie, i w potężny skupiliśmy się zastęp, aby pielęgnowaniem siły cielesnej i zdrowia, zachować naród nasz w czerstwości i mocy, broniących plemiona od upadku, aby też wzmożeniem dzielności ducha utwierdzić i wzmocnić moralne jego podwaliny...

Miły Boże, ci marzyciele czescy mają jeszcze jakieś ideały ziemskie, wierzą w możność wzmożenia sił swoich i naszych; głos z Krakowa powiada po prostu: spuszczaj się kumie na dno!

Jan Karłowicz.

BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

Clark Murray. *Psychologia*. Przełożyli z ang. M. Wernic i J. W. Dawid. Warszawa, 1887.

Teorya starego Kanta, zapomniana przez dłuższy czas we własnej ojczyźnie, dzięki bezpośrednim swym uczniom, którzy zepchnęli filozofię na odmienne tory, stała się od niedawna wygodnem przytuliskiem dla systemów zbankrutowanych. Realny idealizm, filozofia szkocka, eklektyzm francuski, a nawet materyalizm, wszystkie wogóle kierunki myślenia filozoficznego, wychodzące z założeń ontologicznych, czując się bezsilnymi wobec nabytków wiedzy współczesnej, szukają ratunku w nauce królewieckiego mędrca i jego kredytem podtrzymują swe istnienie. W ten sposób powstał monizm, będący połączeniem materyalizmu z kantyzmem, w ten sam sposób wytworzyły się różne odcienie kantyzmu, przybierające nazwy: neo-kantyzmu, filozofii krytycznej i idealizmu transcendentalnego. Nazwy te nie oznaczają jakichś doktryn wykończonych i dających się ściśle określić, ale kierunek, mający za zadanie usystematyzować wiedzę dzisiejszą podług zasad Kanta. Gdy zaś te zasady różnie przez różnych bywają pojmowane, stąd nie masz nawet dwóch przedstawicieli tego kierunku, którzyby się zgadzali z sobą we wszystkiem.

Wziętość swą zawdzięcza nauka Kanta temu jedynie, że będąc w gruncie rzeczy eklektyzmem najdoskonalszej postaci, łączy w sobie zręcznie najsprzeczniejsze dążności. Z jednej strony czyni zadość uroszczeniom ideologii, opierającej się na odróżnieniach czysto logicznych, z drugiej — wymaganiom ścisłych badań, posługujących się doświadczeniem. Pozostawia ona nietkniętym pierwiastek ontologiczny, ale odsuwa go tak daleko, że ten niewiele zawadza doświadczeniu, któremu też przyznaje prawa jaknajszersze.

Kantyzm cieszy się wielkiem powodzeniem nietylko w Niemczech, ale i w innych krajach. Ma on licznych zwolenników w Anglii, we Francyi, Ameryce itd. Należą do nich rozbitki wszystkich tych doktryn metafizycznych, które wobec postępu wiedzy współczesnej nie zdołały usprawiedliwić swych uroszczeń.

Należy do nich również Clark Murray, autor psychologii, którą pp. Wernic i Dawid przyswoili literaturze naszej. Jest on przedstawicielem kantyzmu, przykrojonego do zasad filozofii szkockiej — kierunku, którego pierwszymi rozkrzewicielami byli Hamilton i Whewell. Zgodnie ze swojem stanowiskiem, pojmuje on duszę ludzką jako substancyę — i dlatego odrzuca teoryę rozwojową przynajmniej w jej zastosowaniu do człowieka, którego uważa za istotę uprzywilejowaną i należącą do całości przyrody, tylko przez połączenie ciałem. Stąd też psychologia Murraya jest wyłącznie nauką o duszy ludzkiej. Ponieważ zaś istotną właściwość duszy stanowi świadomość, przeto psychologia zajmuje się temi tylko zjawiskami umysłowemi, które pochodzą ze świadomości, są jej objawem. Sprawy bezwiedne są czynnościami systemu nerwowego i należą do fizyologii. Rzecz więc naturalna, że obserwacya wewnętrzna jest tu głównem narzędziem badania, jakkolwiek nie jedynem. Korzysta autor z nabytków obserwacyi zewnętrznej i doświadczeń fizyologicznych, o ile te pochodzą pod miarę jego założeń. Przyznaje, że każdemu zjawisku w świadomości odpowiada zjawisko w systemie nerwowym i zaznacza wyraźnie, że znajomość czynności nerwowej może stać się najpewniejszą wskazówką, jak należy psychologicznie objaśnić odnośne fakty świadomości; nie zajmuje się jednakże w dziele swem jej stroną psychologiczną. Rozważa objawy umysłowe w oderwaniu od ich warunków naturalnych, jak gdyby zaczynały się i kończyły w świadomości. Wprawdzie, mówiąc o czynnościach bezwiednych i ich znaczeniu, pozwala domniemywać, że pozostają one w ścisłym związku ze sprawami umysłowemi, związek ten atoli nie jest tego rodzaju, ażeby można było sprawy bezwiedne uważać za początek i koniec świadomych. Stanowią one raczej jeden

---

Bielecki (do Wielocha).

Witajże mi bracie.

Wieloch.

Ha pan Bielecki, daj wam Boże zdrowie,
Ratujcież panie! Ja tu jak w ukropie,
Zda się, że kawał muru na łeb zleci
Z onych sufitów i podpórek wszelkich.
Ziemia tu śliska gorzej lodu... człeka
Nie spotkać nigdzie... panów tylko pełno,
A strach przed nimi, bo oczyma wiercą,
Że człek drętwieje, jakby urzeknięty.

Bielecki.

Takiś to żołnierz.

Wieloch.

Człekowi dostoję,
Choćby on turek, francuz, niemiec, dyabeł
Ale z panami braknie mi języka.

Bielecki.

Stary to nałóg — obaczysz w nich ludzi
Małych i wielkich — dobrych i nieponiów.

Wieloch.

Gdybyć do króla dostać się co rychło,
A potem do dom... Proszę też pokornie...
Niewiasta moja mądrze powiedziała,
Gdy mi król ono uładził szlachectwo:
Będzież-ci, będzie. Jużeś przepadł chłopie.
Ja to i widzę... Ni ja snu, ni jadła,
Jakieś pokusy, jakieś zmory duszą,
Trapią mnie srodze. Nie — ja się nie włożę
W skórę szlachecką. Wróćcie dawny spokój.
Do wsi mi, do wsi.

Bielecki.

Jak wrócimy z wojny.

Zborowski (do Wojewody).

Dobrana para.

Wojewoda (do Bieleckiego).

Waszmość, widzę, zbratan
Z tym neofitą... i oddawna?

Bielecki.

Odtąd,
Gdym go ocenić umiał.

Wojewoda.

Dar to rzadki
Masz poznawania aszmość.

Bielecki.

Stokroć większy
Król miłościwy, gdy w poziomym stanie
Umie odnaleźć takiego człowieka.

Wojewoda.

Specyał nielada, lecz szkoda prawdziwie
Tyle zasobu — bystrości królewskiej
Schylić się tylko.

Bielecki.

Tak schylić się trzeba
I zajrzeć w duszę tylu ludzkich stworzeń,
Skazanych losem wieść żywot bydlęcy,
Kiedy ich stwórca uposażył w dary
Zarówno hojne, jak i tych, co w górze.

Wojewoda.

Czy to z tatarskich aść praktyk wyciągnął
Owo maksymy?

Bielecki.

Wysnułem je z serca
I z doświadczenia. Nie wszystko poziome,
Co powierzchownie rozum ludzki mierzy.
W piersi nędzarza wielokrotnie tętni
Królewskie serce... a błogosławiony,
Kto w tłumie ludzkim odnaleźć je umie.
Taki zasługę równą stwórcy bierze.
Bo twór szlachetny przedwiecznego mistrza
Obleka w kształty i oddaje światu.

Wojewoda.

Więc aszmość także znalazłeś tu mistrza,
Który mu kształty dał i filozofią
Taką wypełnił. Wszakże dzieckiem wzięty
W służbach pogana aść swe lata przebył
A snać tam licho ceniono twój rozum,
Gdy nie uczczono go żadną godnością
I tu dopiero sprzedajesz go drogo.

biegun życia umysłowego, którego biegunem drugim, wręcz tamtemu przeciwnym są zjawiska świadomości. Słowem, dusza i ciało to są dwa różne światy odmiennym podległe prawom i mające to tylko wspólne, że istniejąc razem, razem działają i oddziaływają na siebie, ale każdy podług swej natury.

Życie umysłowe człowieka jest wypadkową wzajemnego oddziaływania na się ciała i duszy. Objawia się ono jako poznanie, uczucie i wola, które nie są niczem więcej, tylko trzema stronami umysłu, występującemi w każdym akcie psychicznym, z mniejszą lub większą przewagą jednej z nich. Pierwiastkami tak poznania i uczucia, jako też woli, są wrażenia zmysłowe, zawierające w sobie: czynnik przedmiotowy, jako materyał poznania, czynnik podmiotowy, jako źródło uczuć, i pobudliwy, jako zaród woli. Wrażenia zmysłowe, lubo mieszczą w sobie zaczątek życia umysłowego, nie stanowią go jeszcze w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Są one dopiero materyałem, który musi być wprost uduchowionym, przerobionym podług praw stanowiących istotę duszy ludzkiej, ażeby mógł stać się jej treścią i wątkiem. Dwa są procesy, za pomocą których umysł przyswaja sobie wrażenia zmysłowe i urabia z nich wszystkie formy poznania, uczuć i woli: kojarzenie i porównanie. W kojarzeniu umysł zachowuje się więcej biernie wobec świata zewnętrznego; wrażenia, postrzeżenia i pojęcia łączą się z sobą w pewne całości, mniej lub więcej luźne, w sposób czysto automatyczny. Proces kojarzenia podlega dwom głównym prawom: tożsamości i styczności. W porównaniu występuje umysł czynnie i zaznacza swą samodzielność. Za jego pomocą umysł nabywa świadomości stosunków, jakie zachodzą między własnymi jego stanami. Dokonywa się ono mocą praw przyrodzonych, znanych powszechnie w logice, jako prawa myślenia; są to: prawa tożsamości, różnicy i wyłączonego środka.

Samo atoli porównanie, a tem mniej kojarzenie, nie wystarcza do wytłomaczenia wszystkich postaci życia umysłowego. Za ich pośrednictwem mógłby umysł co najwięcej nabyć świadomości swych stanów i ich stosunków — i to świadomości nieokreślonej. Koniecznym do tego jest udział czynników wyższych, które w samem kojarzeniu odgrywają ważną rolę, a większą jeszcze w porównaniu. Takimi czynnikami są owe pojęcia czyste, zwane pojęciami *a priori*, które są wrodzone i poprzedzają wszelkie doświadczenie. Nazywają je jeszcze kategoryami. Należą do nich: samopoznanie, za pomocą którego dusza nabywa świadomości siebie, jako istoty, różnej od świata zewnętrznego i od własnych swych stanów; czas i przestrzeń, które dają nam poznanie następstwa wrażeń i współbytności położeń; substancya, mocą której zmuszeni jesteśmy przypuszczać w podstawie zjawisk pewne substratum i w końcu przyczynowość, która każe nam odnosić każde zjawisko do właściwej mu przyczyny.

Kategorye te, czynne we wszystkich objawach życia umysłowego, zaczynając od najniższych jego stopni, uwidoczniają się szczególniej w idealizacyi, w wytwarzaniu ideałów: spekulacyjnego, oznaczającego prawdę bezwzględną, czyli bezwzględnie doskonały system myśli; estetycznego — piękność bezwzględną, czyli bezwzględnie doskonałe zadowolenie; etycznego — dobro bezwzględne, czyli bezwzględnie doskonałe objawienie się woli. Ideałem zaś najwyższej czynności ludzkiego ducha jest Bóg, jako istota obejmująca w sobie wszystką piękność, dobro i prawdę.

Oto tło psychologii Murraya. Jest to, jak widzimy, spirytualizm najczystszej wody, przystrojony w płaszczyk kantyzmu. Wdawać się w ściślejszy rozbiór tej doktryny nie mam zamiaru. Zwrócę tylko uwagę, że kto odrzuca teoryę rozwojową i uznaje substancyalność duszy, ten musi z konieczności wyposażyć ją pewnemi prawdami, bez tego bowiem byłaby ona pustą abstrakcyą, któraby nic nie tłomaczyła. Może ta doktryna zadowolić umysły dogmatyczne, dla których słowa i formułki znaczą więcej, niż fakty; ścisłej atoli krytyki wytrzymać nie może. Grzeszy ona przeciwko samej metodzie badania. Nie postępuje w swych wywodach od dołu do góry, wznosząc się stopniowo ku prawdom coraz ogólniejszym; ale szybkim lotem wzbiwszy się do uogólnień najwyższych i nie zdając sobie sprawy z drogi przebytej, z tej wyżyny ogarnia szczegóły i o nich wyrokuje. Zamiast tłomaczyć rzeczy złożone i trudne za pomocą prostych i łatwych do zrozumienia, tłomaczy ona te ostatnie za pomocą pierwszych, które zostawia bez wyjaśnienia. Sama bowiem nazwa nie tłomaczy rzeczy. Czy nazwiemy kategorye czystego rozumu formami myślenia, pojęciami *a priori*, czy przez nie będziemy rozumieli zdania gotowe, tkwiące w umyśle, pozostaną one dla nas zawsze zagadką tajemniczą. Nie jest to więc wyjaśnienie rzeczy, ale ich zaciemnianie. Najsłabszą stronę tego rodzaju metody stanowi to, że w oznaczeniu kategoryi postępuje ona sobie z dowolnością, która w ścisłych badaniach nie powinna mieć miejsca. Kiedy jedni przyjmują tylko dwie kategorye: czas i przestrzeń, inni przypuszczają więcej, zaliczając do nich pojęcia, które tamci wyprowadzają z doświadczenia. Autor nasz ustanawia aż pięć kategoryj, których dowolność jest tak widoczna, uzasadnienie tak słabe, że nie zasługują nawet na zbijanie. W ustanowieniu ich szło mu głównie o usprawiedliwienie z góry powziętych założeń, którym fakty doświadczalne wręcz się sprzeciwiają. Oprócz pięciu owych kategoryj uważa on jeszcze za wrodzone trzy prawa logiczne; nie wskazuje jednakże, w jakim stosunku one zostają do kategoryj.

W szczegóły dzieła nie wchodzę, nie masz w niem nic oryginalnego. Nadmienię tylko, że w opracowaniu jego znać pewien pośpiech, skutkiem którego jedne części obrobione są z większą dokładnością, inne zaś tak pobieżnie i ogólnikowo, że wyglądają raczej na artykuliki sprawozdawcze, niż na rozdziały systematycznego wykładu psychologii. Do takich należą przedewszystkiem rozdziały, poświęcone rozumowaniu i woli. Na karb pośpiechu zaliczyć także potrzeba i to, że w dalszych częściach swego dzieła zapomniał autor o przyrzeczeniach, jakie uczynił w pierwszej. Mówiąc o systemie nerwowym, nadmienia o roli, jaką układ nerwów sympatycznych odgrywa w uczuciach i po bliższe wyjaśnienie odsyła czytelnika do rozdziału, traktującego o uczuciach. Tymczasem w rozdziale tym nic znajdujemy ani wzmianki.

Ciekawą jest argumentacya autora na rzecz wolnej woli. Uznaje on, że wola zależy od pobudek, ale twierdzi, że jest niezależną od okoliczności zewnętrznych. Możecie użyć najczulszych podniet, powiada on, aby mnie pociągnąć dla swych zamiarów, możecie mnie kusić najbardziej uroczemi ponętami zmysłów, albo dręczyć najstraszniejszemi mękami... Lecz jest jedna rzecz, której prosta siła, siła bezrozumna nie pokona; nie pokona ona — mnie... Że wola ludzka nie zależy *bezpośrednio* od uwarunkowania świata przedmiotowego — na to zgadza się i determinizm; żeby zaś wola miała być od nich niezależną nawet pośrednio, tego autor nie dowiódł i nie dowodzi wcale. Więc czemże się różni jego mniemanie od teoryi deterministycznej, prze-

---

Bielecki.

Złośliwość wasza, panie Wojewodo,
Zmusza mnie mówić, o czem taję chętnie,
Bom nie zwykł chwalcą być mych czynów [własnych.

U mahometan znalazłem ja ludzi,
Którzy mi wiedzy dali poznać ziarno,
A że go w marną nie rzucili glebę,
Dowodem moje prace i zasługi,
Któremim wolność najdroższą okupił
I z utęsknionem sercem wrócił w progi
Ojczystej ziemi, by tu głowę złożyć.
Oh, nikt nie pojmie, kto z was nie jadł [chleba
Gorzkiej niewoli, oblanego łzami.
Jakie to skarby, jakie to godności
Oddałby człowiek za jedyne słowo
Rodzinnej mowy, za ten podmuch wiatru
Od pól i łanów, za cichy szmer lasu,
Za ziemi szczyptę z ukochanej wioski.
Totéż gdym posiadł tę wolność najdroższą,
Przybiegłem owdzie, a że nam Bóg zdarzył
Takiego pana, co przyjął mę służby,
Służę z rozkoszą i krew moją wszystką
I życie całe tej służbie poświęcę.

(Przez czas tej rozmowy wyszli z pokojów królewskich — Pękosławski, Kazimierski, Wężyk i przysłuchują się w milczeniu — Marszałek wprowadził Wielocha do Króla).

Wojewoda.

Czem waść był niegdy w służbie bisurmana,
Jakiś urzęda lub godności dzierżył,
Nie chcę przeceniać, bom onych nie świa- [dom
I nie zazdroszczę ich aści, boć one
Zakałą raczej a nie chlubą żadną
Są dla szlachcica. Lecz u nas waść bie- [gniesz
Li za fortuną, a łatasz swą kieszeń
Z krzywdą zacniejszych od ciebie.

Kazimierski.

Oh, podle
To powiedziane.

Pękosławski.

Kryminałem pachnie.

Bielecki.

Ważcie swe słowa, panie Wojewodo,
Szanujcie miejsce. Ja obelgę waszą
Gotów odeprzeć i zawsze i wszędzie,
Prócz tych miejsc, kędy królewski maje- [stat;
Dlatego milknę i wam radzę panie.

Wojewoda.

Mnie radzisz milczeć, nędzny renegacie,
Nie dziw, że wracasz z kończyn gdzieś z za [świata
I zapomniałeś, jak do senatora
Przemawia warchoł taki. Aść mi grozisz,
Ja groźbę twoją kijami wystraszę!

Bielecki.

Boże przedwieczny!

Kazimierski.

Tak zelżyć szlachcica.
Toż hańba wieczna!

Wężyk.

I tu, wobec króla!

Pękosławski.

Pan Wojewoda niech pamiętać raczy,
Że go tu szlachta słucha.

Wężyk.

To za wiele!

Bielecki.

Słuchajcie, panie. Zaglądałem śmierci
W twarz nie raz w życiu, mieciąc jej [pogardą,
Mógłbym tej chwili twą krwią purpurową
Zabarwić owdzie pokoje królewskie,
A moją oddać pod toporem kata.
Bo, jak me życie, nie zdarzył się człowiek,
Coby obelgą taką rzucił na mnie;
Więc jeśli honor nie obcy, dasz miejsce,
A ci panowie za świadków nam staną.

Wojewoda.

Precz, podły sługo haremów sułtańskich,
Turma i więzy albo rózek pęki

ciwko której w sposób tak stanowczy występuje?

Murray zna swój przedmiot dobrze, wykład jego jasny i przystępny dla początkujących; to też przyswojenie jego dzieła naszej literaturze może przynieść pewną korzyść, tembardziej, że tłomaczenie wykonane starannie i ze znajomością rzeczy. Żałować w każdym razie należy, że tłomacze nie zrobili lepszego wyboru; skrócona psychologia Sullego, wydana na początku bieżącego roku, posiada tyle zalet, że jej przełożenie na język polski byłoby wielką dla szerszej publiczności przysługą.

Zwrócić nareszcie muszę uwagę, że do tekstu wkradły się błędy drukarskie, które utrudnić mogą zrozumienie dzieła — szczególniej dla tych, co z przedmiotem nie są obeznani i pierwsze swe o nim wiadomości zechcą zaczerpnąć z książki Murraya.

W. Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Słoninka J.: *Historya c. k. 20 pułku piechoty*, Nowy Sącz, nakładem księgarni J. Jakubowskiego, 1887.

Zaciekawiła nas książka, napisana przez człowieka zawodowego, majora pułku, złożonego przeważnie z ludu nowo-sandeckiego. Autor zrósł się ze swym pułkiem „ludowym,“ z sandeczanami, im też poświęca swoje dzieło. „Przedkładamy (?!) wam — powiada na wstępie — obywatele byłego obwodu nowo-sandeckiego, tę książkę, obejmującą w streszczeniu historyę prastarego 20 pułku piechoty z dniem utworzenia go, tj. od 1681 r. aż do dzisiejszego dnia i przesuwamy przed oczami waszemi wydarzenia dziejowe, w których wasi przodkowie lub też wy sami udział braliście — wam, którzy w dymnych izbach rzemiosłu się oddajecie, wam, którzy z piórem w ręku na chleb pracujecie, wam, którzy ostrą siekierą lasy wycinacie i wam też, którzy nad uroczemi jeziorami niebotycznych Tatr trzody pasiecie, wam wszystkim niech będzie to dziełko poświęcone, gdyż wy wszyscy byliście i będziecie członkami naszej armii ludowej, a w szczególności członkami naszego dzielnego pułku.“ Co do samego założenia dziełka, to brak mu organicznej całości; wprawdzie za granicą, zwłaszcza w Niemczech, wychodzi wiele w tym rodzaju pism (u nas to druga próba), ale wszystkie one kuleją pod względem przyczynowego związku i pragmatyzmu, których trudno mi dopatrzeć w „historyi“ (?) pułku, utworzonego sztucznie, jeżeli nie przymusowo, pędzonego z miejsca na miejsce, jak trzoda bydła, a dawniej zapełnianego co chwila żywiołami obcymi. Żeby mieć pojęcie o dawniejszej armii austryackiej, wystarczy podać skład korpusu oficerskiego 20 pułku np. z 1743 r. Otóż pułkownik i podpułkownik byli szwajcarami, major pochodzenia francuskiego, z pomiędzy innych oficerów było 7 niemców, 5 szwajcarów, 9 włochów, 1 polak, 1 hiszpan, 4 czechów, 6 prusaków, 1 węgier, 7 austryaków i 3 francuzów! I dzisiaj nie jest pułk austryacki jednolitym, a w korpusie oficerskim najmniej polaków.

Cofanie się tu aż do 1681 r. uważam za niewłaściwe; przecież dopiero 1778 r. dostał pułk 20-ty po raz pierwszy rekrutów z Galicyi (z okręgu Wieliczki), a dopiero od rozporządzenia cesarskiego (1817 r.), ustanawiającego nowy podział państwa na powiaty wojskowe, otrzymała Galicya 11 powiatów poborowych, a pułk dwudziesty stałe uzupełnienie z obwodu sandeckiego i bocheńskiego. Lecz pan major stoi widocznie na stanowisku austryackiem, nie polskiem, obchodził nawet uroczyście 200-letni jubileusz przed pięciu laty, razem z cesarzem, chociaż z przedstawienia samego autora wynika, że „przed 1769 r. miał pułk ten liczbę 11“ nie 20, a zatem „uroczystość ta familijna“ była po prostu komedyą, co zresztą bez względu na obliczenie pozostanie niezbitym faktem.

Austryacka dążność występuje zresztą na jaw przy każdej sposobności: nietylko pułk 20, ale wogóle „nasza“ armia austryacka odnosi papierowe zwycięstwa, zdobi sobie czoła wawrzynem i okrywa się nieśmiertelną chwałą—w książce pana Słoninki. Naturalnie, że za najwyższą sławę uważa się wygranie bitwy i jak największy rozlew krwi bratobójczej, a najwyższym czynem jest także podejście nieprzyjaciela „z tyłu,“ żeby go wyrżnąć—na miejscu.... W drobiazgowem, ale niekrytycznem i raczej kronikarskiem wyliczeniu wszystkich bitew, potyczek, oblężeń, szturmów, marszów itp. nie ma czasu na rozmyślanie, ile te krwawe pasowania się sprowadziły nieszczęść i niewysłowionych cierpień na nasz lud, dowiadujemy się tylko z obliczenia statystycznego strat „o ile się dały skonstatować“—że w 240 bitwach, jakie staczać musieli głównie nasi górale, padło przeszło 17,000 ludzi!... A iluż poległych nie zaciągnięto do urzędowego regestru? W Szampanii niemieckiej podczas oblężenia Ulmu i Landau i w jednej bitwie pod Hochstätt stracił pułk dwudziesty, podług „sumarycznego“ wykazu austryackiego: 1,574 ludzi; w „potyczce“ pod Herbechtingen, 1805 r. obliczono stratę w pułku na 1,903 żołnierzy i 22 oficerów! Z zapałem podnosi c.-k. major „sprawiedliwość, honor i wierność, które były zalotami *po wszystkie czasy* członków rodziny habsburskiej,“ ale zapomina o tych, którzy się do utrzymania tego tronu przyczynili krwią i potem w tych rzeziach, jak i podczas „głuchego“ (!) pokoju... Jeżeli „u partyi rewolucyjnej francuskiej (mowa tu o wielkiej rewolucyi), o prawach słuszności i wyrozumiałości mowy nie było“— zdaniem autora, to cóż powiedzieć o sprawiedliwości tych, którzy „całymi tygodniami nie dawali chleba i żołdu nie wypłacali“ żołnierzowi, o tych, którzy podczas ostrej zimy prowadzili wojsko w „dwóch trzecich częściach bez płaszczów“ i fizycznie zupełnie złamanemu żołnierzowi, który „przez dwa dni nic w usta nie wziął, a walczył mężnie, jakkolwiek bezskutecznie,“ kazali iść znowu w ogień „bez żadnej nadziei wygrania“... Czy mam jeszcze przypominać ową nieszczęsną epidemię tyfusową z 1806 r., której uległo 842 żołnierzy prawie bez ratunku, ową klęskę wagramską, w której zabito 20,000 austryaków, a rannych żywcem spalano, ową przeprawę przez Jura (1814), kiedy nawet nasi górale skutkiem gołoledzi wpadali w przepaście razem z wozami i armatami; któż-by zresztą zdołał wyliczyć wszystkie nieludzkie czyny zwyrodniałego stanu oficerów austryackich.

Serce rozdzierające sceny opisuje autor z czasów buntu chłopskiego (1846 r.) kiedy to pułk dwudziesty po raz pierwszy skierował karabiny na swych ziomków. Obraz rewolucyi z 1848 r. budzi wstręt w czytelniku i na to podobno był obliczony — garstka powstańców w Pradze, gdzie wówczas stał pułk dwudziesty, dostaje miano bandy czy tłuszczy rozbójników, a cała akcya nazywa się „buntem i zdradą.“ Ktoby nie znał niechęci naszego ludu do wojska austryackiego, gotówby uwierzyć zapewnieniom autora, że „z gorączkową niecierpliwością oczekiwał powołania go na pole chwały“, albo że „na

---

Mam dla cię tylko, nie szablę dziadowską.

Bielecki (do szlachty, która go powstrzymuje).

Puszczajcie!

Marszałek (otwierając na oścież podwoje).

Król pan.

Zborowski.

Ah, to w samą porę!

(Wchodzi Król, prowadząc za rękę Wielocha, który trzyma pergamin, opatrzony pieczęciami; za nimi Podkomorzy, Marszałek).

Król.

Dzierż, chłopie, mocno, coś zdobył zasługą
I krwią okupił; pilnuj przed grabieżą
I zasłoń piersią, jakeś tam zasłaniał
Nasz obóz w polu.

Wieloch.

Bóg zapłać wam, królu.
Jać mam chudobę, co do życia starczy
Dla mnie i dziatwy; a to, com tam w polu
Sprawił, to by każden
Z naszej wsi umiał. Oni, niebożęta,
Nie mieli szczęścia, ni tej okazyi,
Ale służyli tak, jako ja wiernie;
Więc rozdziel, panie, te łaski na wszystkich,
Niechaj gromada cieszy się wraz ze mną.

Król (biorąc od niego pergamin i oddając go Podkanclerzemu).

Słusznie, mój bracie. Nie tobie ten szpargał.
Klejnot szlachecki jużeś przyniósł w sercu,
A taki piękny i czysty, że nasza
Pieczęć wartości mu wcale nie przyda.
Stanie się zadość, jak chcesz. Grojska wola
Do was po wieki ma należeć cała;
Wieś tę królewska opieka niech zdobi,
Jak płaszcz szkarłatny. Ty, nowy szlachcicu,
Bądź tem, czem byłeś zawsze — a wystarczyć
Zasobu cnoty, by tej nowej tarczy
Rdza nie szpeciła. Niech Bóg będzie z tobą.

(Do panów).

Gdy pycha serce i rozum owładnie,
Radzę popatrzeć w tych robaków losy,
Deptane sprośnie, a może ów rankor
Dla zasług prawych, nagradzanych skąpo
Dłonią królewską, przycichnie i lica
Rumieniec wstydu pokryje i ręka
Nie po zniewagę, ani po kord nagi
Sięgnie skwapliwie w królewskiej komnacie,
Ale uściśnie to, co warto cześci.
Czego wam życząc, chcę mieć dom mój wolny
Od burd wszelakich, kosztować swobody,
Jaką się cieszy najlichszy z poddanych.

(Odchodzi, za nim Podkomorzy i Marszałek).

Wojewoda (patrząc w twarz Zborowskiego).

Za drzwi Zborowscy, Tęczyńscy, Sieniawscy
Za drzwi, bo król *bat* nową Polskę stawia.
Za drzwi! Słyszycie, jagiellońskie mury,
I nie runiecie na głowy? Oh zgrozo!
Lecz nie!.. Wystójcie, silnie, mocno, trwale
Na lepsze czasy. Wy szydźcie wraz z nami
Z szaleńca tego. On pijany sławą,
Która z tych komnat królewskich wyziera,
Chciał być Kaźmierzem wielkim... ha szalony!
Pędź, gdzie cię niesie twych przeznaczeń siła,
Ale do drzwi tych, coś zamknął przed nami,
Do drzwi Zygmuntów już więcej nie trafisz.

W. Rapacki.

rozkaz" dany z góry „radość zapanowała w sercach żołnierzy." W zmiennej kolei losów przeszło całego stulecia przebiegli górale tatrzańscy cały ląd europejski; stepy Dniepru, niwy Francyi, wiecznym śniegiem pokryte Alpy i gorące wybrzeża Sycylii były świadkami ich wytrwałości i niedoli, ich męstwa i poświęcenia za urojone idee ministrów austryackich, za obłudną politykę „domu" austryackiego, ale życzenia, wypisane na ostatnich kartach tej „historyi," żeby lud nasz doczekał się „*dwu* nowych *wieków* również chlubnych" w tego rodzaju czyny już się nie wcielą.

H.

LITERATURA RUSIŃSKA W GALICYI
za rok 1886.

Lwów, 1 stycznia.

Jak w polityce, tak i w piśmiennictwie nadzwyczaj skąpe plony przyniósł rusinom galicyjskim rok ubiegły. Wewnętrzne rozterki i waśnie między stronnictwami, ogólne zacieśnienie widnokręgu umysłowego i nieustanne rozdrażnienie, podtrzymywane bezpłodną, lecz zaciętą polemiką gazeciarską — oto okoliczności, wpływające nader szkodliwie na rozwój literatury i jej talentów. Ster polityki zarówno jak i literatury rusińskiej wzięli w swe ręce nauczyciele gimnazyalni, ludzie, przypuśćmy, osobiście uczciwi i pragnący dobra ogólnego, lecz zarazem nadzwyczaj zależni, płochliwi i wskutek nieszczęsnych stosunków szkolnych zakamieniali w literackich i estetycznych pojęciach z połowy XVIII wieku, z czasów przed Diderotem i Lessingiem. Cokolwiek napisane w duchu innych zasad i poglądów, na pewno w żadnem z istniejących obecnie czasopism rusińskich pomieszczonem nie będzie. Do tych martwych i ciasnych reguł przykrawają oni literaturę zagraniczną, drukując w „Bibliotece najznakomitszych powieści" — najbezbarwniejsze szpargały „Wuja Adama," Szwarcowej, Feuilleta, Rajmunda, Hillerna i Ohneta, a omijając arcydzieła Dickensa, Spielhagena, Zoli itp. Dotychże reguł przykroili i ojca literatury ukraińskiej, Szewczenkę, wydawszy wybór jego poezyj formalnie „skastrowanych," jak się wyraził jeden z pisarzów. Bojaźń przed wszystkiem, co nosi miano rzeczywistości i życia, bojaźń przed głębszem wejrzeniem w jego cele i zadania; oto, można powiedzieć, główne, charakterystyczne cechy tej literatury biednej, bladej, jałowej, pozbawionej werwy i oryginalności. Jeżeli wobec tego galicyjscy rusini nie stracili jeszcze zupełnie interesu do własnego piśmiennictwa, jeżeli czytają rzeczy drukowane w swoim języku, to tylko dzięki produkcyi na Ukrainie, dzięki tamtejszym autorom, jak Neczuj-Lewicki, Panas Myrnyj, A. Koniski, D. Mordoweć i inni.

Pragnąc podać czytelnikom *Prawdy* choć w przybliżeniu dokładny obraz, uczynię to w szeregu sylwetek: poetów, powieściopisarzy, uczonych i publicystów obecnie żyjących i pracujących. Pominę tu zupełnie ukraińców, drukujących swe prace w Galicyi, gdyż, jak powiedziałem wyżej, prace te są płodami innego gruntu i mogłyby raczej zaciemnić, niż wyjaśnić rysy znamienne miejscowe.

I.

W starym, podwawelskim grodzie, w drukarni p. Korneckiego, wyszła ładna książeczka (8-o, 148 str.) pod tytułem: *Wołodymir J. Maślak. Poezyi,* tom I." Jest to jedyny, większy, osobno wydany zbiór poezyj rusińskich, jaki pojawił się 1886 roku; nim więc przedewszystkiem zajmę uwagę czytelnika.

P. Maślak kilka lat już pracuje na niwie poezyi galicyjsko-rusińskiej, wytrwale wstrzymując się od pisania prozą. Książka jego tembardziej zasługuje na szczegółowy rozbiór, że, wedle zdania profesorów gimnazyalnych, ster dzierżących w naszej literaturze, jest on najzdolniejszym poetą rusińskim w Galicyi. Zdanie to poniekąd słuszne: p. Maślak jest poetą najbardziej zbliżonym do ideału naszych profesorów. Wszystko to, co według nich stanowi poezyę, posiada on w obfitości, a przytem nie posiada tych rzeczy, które leżą po za widnokręgiem ich pojęć estetycznych. Pod względem formalnym musimy przyznać p. Maślakowi wielką łatwość wierszowania i wielką płodność, dźwięczną nieraz, chociaż nie wszędzie czystą mowę i lekkość, pochodzącą, niestety, daleko częściej z płytkości pojmowania, niż z zupełnego opanowania przedmiotu.

Lecz rzućmy okiem na moralną i umysłową fizyognomię autora. Rozumie się, rusiński to patryota, jego „serce rwie się, jak ptak ku słońcu na południe, zdąża do wielkiej pracy, by nieść dla ludu ogień słów. Sam los już poświęcił go, by szczerze bronił ludu, by dopomagał zapomocą światła zerwać ciemności, które lud ten pokryły" (str. 60). Prawda, możnaby zauważyć, że „ogień słów," to jeszcze nie taka wielka praca, a osobliwie, że ogień tych słów, których w tym tomiku nadrukował p. Maślak, nie bardzo jeszcze przyczyni się do „zerwania z ludu ciemności," no, ale nie zapominajmy, że to poezya, w której dobre intencye mogą starczyć za czyny. Patrzmy dalej, jak pojmuje p. Maślak tę „wielką pracę," do której czuje się „poświęconym." Pojmuje ją bardzo poetycznie, tj. bardzo niepraktycznie. „Gdyby to gdzie dostać tych skrzydełek sokoła, obleciałbym świat szeroki i ziemię dokoła, nazbierałbym promieni słońca, blasku drogich kamieni dla odnowienia tych chat owiniętych w tumany; wypytałbym, gdzie jest takie morze, by woda z niego wzięta dała lekarstwo na cierpienia; niósłbym wodę po kropelce między mój lud wybrany, rozdmuchiwałbym tę rosę (!) jak wiatr poranny na każde malutkie okienko, by rozpędzała smutek, jak słońce chmurę" (str. 15 — 16). Jak widzimy, wszystkie czynności całkiem fantastyczne i bezcelowe, a nadto jeszcze uwarunkowane prostą niemożliwością. Zresztą chociażby p. Maślak dostał skrzydeł, najprostsza myśl powinnaby mu powiedzieć, że ani blasku słońca, ani blasku kamieni do worka zebrać nie można i że te blaski wcale niczego odnowić nie mogą, tak samo jak kropelki wody morskiej, rozdmuchane po oknach chat wiejskich, nie ukoją żadnego cierpienia. Lecz może w tych słowach kryje się jaka alegorya? Być może; lecz autor nie daje nam najmniejszej wskazówki do jej rozwiązania; przeciwnie, inne ustępy jego utworów świadczą aż nadto jasno, że całe narodolubstwo, cały patryotyzm p. Maślaka nie jest niczem więcej, jak mglistym frazesem bez żadnej realnej podstawy, bez myśli o praktycznych jego konsekwencyach. On chciałby żyć dla swego ludu, „zjednać mu wieniec dobra (!), złamać jego męki i namiętność" (str. 79) — frazes, jak widzi czytelnik, zupełnie bezmyślny; chciałby wzlecieć między gwiazdy nie po to, by się tam nauczyć astronomii, lecz po to, by mógł „stamtąd, z pod nieba wysławić całą ponętność swej Ukrainy" i żeby „z samego nieba od tych Cherubów nabrał uczuć pokoju i miłości," któremy potem, powróciwszy z napowietrznej wędrówki, mógł „posiać" między swój lud (str. 80); chciałby zajść do swojej rodzinnej wioski, nie po to, żeby oświecić i pocieszyć jej mieszkańców, lecz po to jedynie, „by na pagórku przy dolinie objąć szczerze krzyż, pomodlić się tam po dawnemu i czołem wybijać pokłony, spojrzeć choć raz na dolinę, na las, na rzeczkę z pagórka, wspomnieć tę godzinę (!) szczęścia, jak płomieniła się jego wiosna, pobiegać choć raz po szerokiej łące, odkryć jej serce i pierś, by wiedziała (?), jaki tam głęboki żal zostawiła ostra ścieżka życia" (str. 48). O tym głębokim żalu później — na teraz jednak dość zauważyć, że wszystkie myśli autora o ludzie, o Rusi— są frazesami, nieodpowiadającymi wcale rzeczywistym jego uczuciom. Najdobitniej przekonywają nas o tem następujące wiersze, najlepiej może wypowiadające moralną nicość: „Chciałoby się żyć na bożym świecie, spoglądać *wesoło* na gwiazdy; chciałoby się przeżyć dni życia *w szczęściu*; chciałoby się żyć *przy chorągwi sławy*, podnieść *buńczuk* za naród, lecz trudno, bo z naszych dawnych chorągwi pozostały tylko szmaty" (str. 93). Ani wzmianki tu o pracy — tylko pragnienie wesołego, szczęśliwego i sławnego życia. Życie bez pracy przedstawia mu się czemś bardzo pożądanem, kiedy takiego właśnie zamiast wszelkich innych błogosławieństw on życzy swej rodzimej wiosce (str. 47). Z rzadką też szczerością — czy naiwnością — przyznaje się do swego moralnego bankructwa. „Dała mi matka urodę nie brzydką, a Bóg raczył wlać w serce odrobinę talentu, a los tchnął mi w duszę *jakąś dziwną wiarę* i do niej jeszcze dodał lirę śpiewacką. A z mej urodziwej twarzyczki tylko zmarszczki widać *), a mój talent, co od Boga, ugięła dzika nędza, a tłum ludzki jak się zawziął, złamał mi wiarę, dzika burza przygniotła i porwała lirę. I została się u mnie tylko śpiewacka dola, wspomnień trochę, myśli trochę i chłodniejsza wola" (str. 114). O ile te wiersze nie mieszczą prostych banialuk w rodzaju „chłodniejszej woli," „dzikiej burzy gniotącej lirę" itp., o tyle możemy z nich wyczytać, że wiara autora w lud, w Ruś i w ideały ludzkości nie była wyrobiona przez życie, lecz włożona w niego przez los, rzecz naturalna, że była to wiara „jakaś dziwna," znikająca tam, gdzie właśnie powinna była powstać — śród ludzi. Druga prawda, jaką wyczytujemy z powyższych wierszy, jest ta, że myśli w jego głowie „trocha." Och, i bardzo trocha! Myśl to tak dziecinna, tak niewyrobiona, że „nawet czyni wstyd," chociaż wiadomo, że poeci zwykli uważać się za wolnych od poważnej pracy umysłowej na tej niby podstawie, że im „Bóg raczył włożyć w serce odrobinę talentu." Ba, ale z tą odrobiną talentu jakże łatwo dojść bez innych przewodników do takich np. pytań i zagadnień: „Radbym poznać, gdzie kłoni się świat (!), gdzie nikną niebieskie przestrzenie? Czy to prawda, że wyżej nad nami, ludźmi, nad światem, nad krańcami słońca jest jasność, jest siła, jest Bóg wszystkiego, który tworzy samemi słowami? Radbym poznać, jaki tam tron, w jakich on króluje koronach? Czy tam pieśń mu śpiewa „hłahol," czy hymny mu grają na strunach? Czy jest tam cień nocy, czy tylko dzień" itp. (str. 118 — 119). Mój Boże, pierwszy lepszy podręcznik fizyki dałby autorowi jasne i pewne odpowiedzi na te pytania! I daremnie on biedak w bezsennych nocach „liczył gwiazdy i uczył się *czytać*, co *gada* miesiąc" (str. 34); cóż z tego, kiedy z tej nauki nie wyniósł nawet tyle, że świat się nie kłoni, że przestrzeń nie niknie; że gadanie trzeba słuchać, nie czytać. Tak samo odrobina talentu nie zastąpi nigdy podręcznika historyi, i autor powinienby wstydzić się oświecać ciemny lud takim np. wierszem, że „w Białejcerkwi hetman Ukrainy zawarł przymierze z lwem północy, niby z bratem, ale w niedobry czas" (str. 61). Szkoda, że p. M. pisząc to, nie zajrzał choć do kalendarza „Proświty," gdzie na pierwszej karcie byłby wyczytał, że w Białejcerkwi Chmielnicki zawarł pokój z polakami, zaś z „lwem

*) Jest to nieprawda, bo p. Maślak jeszcze młody, co najwyżej 25-letni chłopiec i wielki „kawaler."

północy“ w Perejasławiu. Również nie byłby autor za przykład współczesnym rusinkom stawiał kniahini Olgi (str. 23), o której historya wie chyba tyle, że w okrutny sposób wycięła i zniszczyła plemię drewlańskie a na starość stała się dewotką. Nie ma co mówić, ładny ideał!

Lecz jeśli nie dopisują naszemu autorowi sprawy wyższe, to może szczęśliwszy on w malowaniu scen codziennego życia, w wypowiadaniu wreszcie swych własnych osobistych uczuć? Prawda, już z wyżej wypisanych ustępów mógł się czytelnik przekonać, że u p. Maślaka frazes bardzo często zastępuje szczere uczucie; frazesem też, a nie szczerem uczuciem tchnie jego wyznanie, że „już od dawnych lat pokochał *siłę życia*, bliźnich, Boga, świat“ (str. 146). Jak można pokochać taką wątpliwej wartości abstrakcyę, jak „siła życia,“ wyrugowaną obecnie z biologii i fizyologii, tego sobie nie mogę przedstawić, lecz zdaje mi się, że wcale nie o miłości do ludzi świadczy ta nauka, którą daje p. Maślak jakiemuś chłopczynie: „a powoli, mój chłopczyno, będziesz wiedział, żeś się na to urodził, byś klął“ (str. 125). Przeciwnie, autor wyznaje, że „bardzo go straszyły te noce bezsenne, które mu kazały duchem i sercem zaglądać pod strzechy pochyłe“ (str. 35). I rzeczywiście, z całej książki widać, że autor bardzo rzadko i niechętnie zaglądał pod te strzechy. Gdziekolwiek w swych wierszach dotyka życia rzeczywistego i bytu ludu, popełnia mnóstwo omyłek i niedorzeczności, zamiast realnych obrazów daje puste i utarte frazesy, zamiast faktów — stare i przeżute szematy, zapożyczone z książek. I tak na grób samobójczyni każe on przechodniom rzucać *słomę* (str. 2, 6); oczywiście, czytał, że na takie groby lud rusiński zwykł coś rzucać, lecz zapomniał, że kładzie tylko gałęzie, lecz w żaden sposób nie słomę. Tak samo wiejskiej dziewczynie każe w cerkwi stawać blisko ołtarza (str. 11), nie wiedząc snać o tem, iż w naszych wiejskich cerkwiach ściśle zachowuje się ten obyczaj, że przednią połowę cerkwi zajmują mężczyzni, tylnią pod chórem kobiety i dziewczęta. Tak samo uparcie każe p. Maślak wiejskim dziewczętom stroić się w rutę (str. 13, 38, 39, 53) nie wiedząc o tem, że ruta jest symbolem śmierci, nie wesela. Sam nawet poczuwa swą bezsilność na tem polu, kiedy (str. 130) błaga losu, by go „wrócił na realny poziom ziemi,“ chociaż w tymże samym wierszu zdradza zupełną nieświadomość tego, czem jest ten realny poziom i czego on wymaga od poety. Błaga bowiem dalej autor, by mu wolno było choć na dzień jeden stać się „małoletniem dzieckiem w koszulce, pełnem wiary w święte niebiosa.“ No, taki realny poziom nie wieleby p. Maślakowi przyniósł korzyści.

Najlepiej stosunkowo udają mu się drobne wierszyki, opiewające miłość osobistą, bez żadnej myśli głębszej i ogólniejszej, lub też krótkie anegdoty, niby to satyryczne, lecz raczej tłuste i płaskie, w rodzaju np. tej, że dziewczyna, poszedłszy do cerkwi, przez cały czas mszy stała blisko ołtarza, obrócona twarzą do chóru i „modliła się do tego świętego, co na chórze, z czarnymi oczyma“ (str. 11), lub też „przelęknionej,“ która idąc w nocy do sąsiedniej chaty, napotkała parobka i uważając go za stracha, chciała go odpędzić modlitwą, podczas gdy on ją całował (str. 19—20), lub też „realnej,“ która słuchając miłosnej spowiedzi młodzieńca, nie znajduje innych słów odpowiedzi prócz tych: „patrz pan, jaka ładna fasola,“ lub wreszcie tej „świętej,“ która ciągle chodzi do kościoła, modli się, spowiada i nie może darować przyjaciółce, że pokochała studenta, lecz sama jednej nocy ucieka z oficerem (str. 56). Są to zwykłe anegdoty, w jakich lubują się starzy kawalerowie, autor zaś nie umiał wlać w nie ani odrobiny jakiejkolwiek świeżej myśli, lecz jedynie starał się wydobyć na wierzch zawartą w nich tłustość.

Na zakończenie tej charakterystyki, opartej na własnych słowach poety, winienem przytoczyć jeszcze dwa ustępy z jego poezyi „Nowyj zakon.“ Być może, że p. Maślak, przeczytawszy mój rozbiór, zechce o nim powiedzieć: „Był poeta, co *z serca* i *z natury* znał piękne prawidła poezyi, lecz za prawdę wielką, głęboką, shańbił go krytyk z profesyi“ (str. 101). Chociaż nie krytyk z profesyi, bardzo bym był rad, żeby na mnie spadł powyższy gorzki zarzut; sądzę jednak, że on nie może spotkać mię wcale. Szczerze szukałem tej „prawdy wielkiej, głębokiej“ w poezyach pana Maślaka, lecz — świadkiem czytelnik — prócz pustych frazesów, dziecięcej niewiadomości i braku zasad jakichkolwiek, niczego nie znalazłem. Poezye te i ich wziętość, nie tyle śród publiczności rusińskiej, ile śród koryfeuszów naszej literatury — to zjawisko nader smutne, i jeżeli może za długo zatrzymałem się nad niemi, to tylko dla wykazania, na jakie bezdroża zaprowadzić może człowieka bezsprzecznym obdarzonego talentem i pracowitego — galicyjska blaga i ciemnota. Była chwila, kiedy niektórzy prowodyrowie narodowców rusińskich wysyłali p. Maślaka w roli rycerza smutnej postaci dla zwalczenia „racyonalizmu i radykalizmu“ młodzieży. I w obecnym tomiku p. Maślak bardzo wiele prawi o wierze, którą niby to kiedyś miał, którą mu wydarto, lecz którą mimo to posiada, ponieważ często powołuje się na Boga i chce nawet zbadać kształty jego korony. Zdaje mi się, że wobec tego wcale ciekawe światło rzuca na jego religię i moralność następująca strofa (str. 100), którą próbowałem przełożyć mową wiązaną i która niech będzie zakończeniem tej charakterystyki:

„Pracuj“ — mówi mi uczony;
„Módl się!“ — ksiądz mię napomla;
Jam się modlił, jam pracował,
Ale doli mojej niema.
Bo *modlitwa dziś — parada*,
Praca — blagą jest w tej porze;
W świecie jeden głos rozbrzmiewa:
„*Targuj każdy, jak kto może.*“

I. Franko.

Z ZACHODU.

I.

Zdawało mi się w jednej z tych chwil pół snu, pół halucynacyjnej jawy, co to przywołują twarze i kształty znanych osób z jednego krańca ziemi na drugi, żem widział sławnego lwowskiego satyryka, siedzącego przy biurku i piszącego ostatnią kronikę. Głowę miał podpartą, piórem leniwem i widocznie zmęczonem wodził po papierze a chwilami przestawał, namyślając się długo... aż wreszcie (patrzałem mu przez ramię) na ćwiartkę papieru wypadły niezwiązane z tokiem słów smutne i rozpaczne wyrazy: „Eli, Eli, lama sabathani; „Boże, Boże, czemuś mię opuścił!“ Pojąłem; była to jakby skarga na uciekające siły, na bledniejący dowcip, na zwichnięcie dzielnej dawniej dłoni wobec chichocących doń bezustannie obłudy i głupstwa. Udzieliła mi się jego zaduma; a gdy zamglonemi oczami poglądałem tak na ów golgocki frazes, nagle wyrazy zaczęły pękać, rozrywać się, przedrzeźniać karykaturalnie własnym swym kształtom, i od zapisanej na pół karty papieru doszedł mię komiczne smutny jęk, w którym usłyszałem dwa znakomite nazwiska i nieco żydowszczyzny: „El..y, El..y, Lam ma sabat tani“ i — a pojąłem go w tem znaczeniu, że galicyjski kronikarz żali się poecie i przedstawicielowi galicyjskiej literatury, iż soboty, w których jego kroniki pojawiają się w *Dzienniku*, skromne są dlań i szczupłe, szczuplejsze nieraz, niż dla przedstawicieli galicyjskiego kapitału, co przechadzają się właśnie po hetmańskich wałach z założonemi w tył rękami, poglądają z zachwytem na dorastające śliczne spadkobierce swoje i Galicyi, marząc o dodatkowej główce czosnku tego ważnego wieczoru.

Smutna bo nieraz była kronikarza dola; lecz za to był królem śmiechu; warto w jego wstąpić królestwo. Dziś kto chce żyć, winien zwyciężać; kto chce zwyciężać, winien umieć śmiać się. Jedno szydercze drgnienie ust unicestwia ludzi i ideje. Wyobraźcie sobie człowieka modlącego się i postawcie nad nim ateusza: uśmiechnie się lekceważąco i śmiech jego modlitwą swą zabije; nad nim księdza, uśmiechnie się litośnie; nad nim filozofa, uśmiechnie się spostrzegawczo; nad nim fanatyka, uśmiechnie się krwawo i pogardliwie; nad nim sceptyka, uśmiechnie się roztropnie i pobłażliwie dla owych uśmiechów; nad nimi Boga, tak jak go Buonarotti na ramionach aniołów posadził, uśmiechnie się błyskawicą i przerazi gromem. A nad Bogiem umieśćcie szatana; szatan szyderstwem swym zabije Boga, tak jak go codziennie w sercach ludzkich zabija. Jego zaś — straszna myśl — już nic nie zabije, lub, zabiwszy, zmartwychwstawać bezustanku nie wzbroni; bo negacya jest zawsze ostatnią i zwycięzką odpowiedzią w szeregu wiekowych dysput i dociekań.

Śmiech zabija teorye filozoficzne i literackie: sofiści nie ostali się przed Sokratesową ironią; Arystofanes zabijał Sokratesa, racyonaliści scholastyków, materyaliści ich wzajemnie. Romantyzm zabił klasyków, naturalizm romantyków; symbolizm zaczyna we Francyi zabijać naturalistów — zawsze śmiechem, działem najpewniej burzącem i najskuteczniej. Śmiech zabija państwa i systemy. Kiedy augur uśmiechnął się do augura, runął Rzym; kiedy głowa kościoła uśmiechnęła się do kanclerza Niemiec — może stać się to samo...

Głupstwo jest nieśmiertelne, nieśmiertelna za nim i satyra. Arystofanes, Juvenal, Daniel, Rabelais, Voltaire, Swift, Byron i Heine przyszli, gdy byli potrzebni; pora dziś, aby duch wieków uplótł sobie nowy bicz na rozpłażone społeczeństwa.

Nie wolnoż nam dworować z ras zachodnich, kiedy je znamy lepiej, ich język, literaturę i kulturę, niż im zamarzyło się kiedykolwiek znać swych najbliższych sąsiadów? A mało jeszcze dworować. Kto z nas żył między niemcami, nauczył się ich nienawidzieć, między francuzami lekceważyć, między włochami pogardzać, między anglikami wstrętu do nich nabrać musiał. Ich polityka, literatura i sztuka, mają swoje wielkości i nikt ich znów tak dobrze, jak my, w równowadze naszego na różnorodnych zjawiskach ćwiczonego sądu, nie pojmuje; ale ile razem rysów śmiesznych lub potwornych! Niemieckiemu aniołowi pokoju wyglądają z pod białego płaszcza ostrogi i buty; Anglia i jej bankierzy spełniają skutecznie *misye* swe w Turcyi. Egipcie. Afganistanie, skoro wiodą je ciągle na nowe *emisye*; Francya pieści chińczyków, apostołując dobrodziejstwa kultury kankanem i opium, lub wpajając w ich flegmatyczną krew ów *furor francese* lub... *francese*, na który już Falstaff u Shakespeare'a się skarży, Włochy zwą się „królestwem z łaski bożej,“ podczas gdy są niem z łaski Bismarka. Uczeni piszą tomy o zjednoczeniu romańskiem; sama ludność okrada w imię patryotyzmu niemców lub turystów — co jej wychodzi na jedno — a ministrowie płaszczą się im w ambasadach. Hiszpania zachowuje na dworze ceremoniał Filipa II, jakby państwo, w którem dawniej nie zachodziło słońce, nie było państwem, w którem ostatnie

szychy spełzły na hidalgów płaszczu, w którem stu żołnierzy wywołuje rewolucyę i stolicę do zamknięcia bram swych stanem oblężenia zmusza, w którym pirenejski bandytyzm stanowi uorganizowaną armię, wchodzącą z ambitnymi książętami w układy.

Złośliwość jest jak wypukłe zwierciadło, kształty piękne w niem się wykrzywiają, prostują niekiedy ułomne. Złośliwość więc nigdy prawdy nie powie. Ale schlebia, ale podoba się. Dość odbić znowu pogięte kontury w odpowiedniem zwierciedle, prawda wróci, a i uciecha nie zginie. Społeczne zjawiska literatury i sztuki europejskiej są niby ostatnimi kozłami pajaca, ustępującego z wiekowej sceny w przeczuciu, że po nim przyjdzie jakiś aktor tytan. W Niemczech Hamerling przedrzeźnia greckie myty, tworząc dla swego Amora i Psychy jakieś hyperalegoryczne sytuacye; Heyse rzuca się do komedyi i dramatu — on, z krwi i kości nowelista, i obciąża je filozofią, jakby go laury korciły Renana. W sztuce dwie ostateczności: Gabriel Max i Grützner. Pierwszy maluje chorobliwe, ekstatyczne mniszki, drugi odnawia po raz tysiączny formułę śmiejącego się nad kufelkiem — monachijskim kufelkiem — mnicha; pierwszy w symbolizmie swym zapoznaje nawet rysunek; realizm drugiego doszedł do tej doskonałości, która zamienia rękę w maszynę, a wyobraźnię w worek żądny amerykańskich dolarów.

W Anglii laureat Tennyson zasiadł się w idylli, Rosetti zdziecinniał w swej dziecinnej formie, Swinburne rzuca na papieża pioruny, tonące jednak tuż przy brzegu, w kanale La Manche. A malarstwo? Alma Tadema wymyśla greczynki, których modele brał nie z ludzi, lecz z posągów, tak w nich kropli południowej krwi nie ma; akcesorya do tych obrazów są systematyczną ilustracyą Brytańskiego muzeum; po skopiowaniu ostatniego trójnoga artysta rzuci paletę i zostanie fermerem. Reszta czuje wstręt nawet do farby olejnej, dla praktycznych celów wystarczają jej akwarele; to upodobanie do owego nietrudzącego rodzaju malarstwa, które anglik u siebie rozwinął, aby nie marnując czasu na olejne płótna, mieć przecież to, co każdy szanujący się naród posiada, maluje najświetniej angielski utylitaryzm.

Francya da się scharakteryzować jednym wyrazem: *byzantynizm*, a już sam fakt, że w łonie narodu mogła powstać literacka szkoła, zwąc się sama bezwstydnie upadłymi lub „skapiałymi“ (*decadents déliquescents*), pięknie wróży o jej przyszłości.

W Hiszpanii modny jest zolizm, we Włoszech germanizm, zwłaszcza w umiejętności: a u nas?

Ach! my posiadamy literaturę jędrną i sztukę zdrową; na żadnem u nas polu nie przyszło jeszcze do wyjałowienia treści, bo nas prą ustawicznie kwestye żywotne i własne do pracy fantazyą i dłonią; tylko, gdy stajemy się praktyczni, nie wykorzeniajmy ze wszystkiem poezyi i gdy wielu rzuciło się za redaktorami *Głosu* sadzić kartofle, prośmy, aby zostawiono kilka grządek i na róże...

II.

Pod brzemieniem przypłaszczonych nieb, w gwałtownej jaskrawości lampaderów (język „delikwescentów,“ skapiałych), za horyzontalną abrakadabrantką małej marki filuje po bulwarze królewski gumowiec i cesarski kopurszyk, obaj baydzo pschutt, baydzo vlan i baydzo ah! (język *Gil Blasa* i Królewskiego klubu). Z nimi fale tłumu toczą się ku Pałacowi Przemysłu.

Paryż tem podobny do Krakowa, że musi mieć co dnia nową uroczystość dla oczu, nową ofiarę dla języków, a dla gustu (tem jest odmienny) nową modę. Książe Melisano, kończący rezolutnie śmiercią kłopoty półtora milionowych wierzytelności, czarny książe Karamokoko na białym i czerwony generał Boulanger na czarnym rumaku; dramat Jouarez i zgniłe jabłka; ksieni z Jouarre, dzieło eunucha prawiącego o miłości; wieża Eiffel; ksiądz Roussel, Merlatti i Succi, śmierć i rzekome nawrócenie Pawła Berte'a; przesilenie gabinetowe — oto ostatnie rozrywki tego zdenerwowanego Molocha, który się zwie *całym Paryżem*, tego stuzmysłowego dziecka, które się zwie paryżaninem. Moda chińszczyzny przepadła; dziś gust płynie dwojakim prądem: rosyjskim, który się począł Turgeniewem i podobnymi jemu *duchami* (rozumiem perfumy; o etnografio!) i prowensalskim, którego wykwitem jest Daudetowy Tartaryn z Taraskonu i Tartaryn na Alpach.

W Pałacu Przemysłu zaświeciło swym słonecznym symbolem to Południe, skąd wyszedł Paryżowi Zola i Daudet, Paul Arene i jowialny Armand Silvestre, Cabanel i Paladilhe, twórca świeżo wystawionej opery *Patrie*; to Południe, gdzie króluje wiatr mistral, na nadrodańskim stepie Kamargi z szalonymi walczący bykami i Mistral poeta, co śpiewa jeno „gdy słońcem ruszony:“ *Lou soulèu me fai cantá*, autor ślicznej epopei o *Mircio*, jedynej, jaką posiada Francya po pieśni o Rolandzie, tylko językiem wydana trubadurów, najartystyczniejszym, jaki zna poezya; Mistral, naczelnik poetyckiego związku *Felibrów*, co sobie usłali gniazdo na papieskiej stolicy w Avignonie i marzyli chwilę o przywróceniu prowensalskiego państwa, z Katalonią w spółce. Dziś prowensalczyk, to już nie ów pogardzany owerniak lub marsylczyk, ale uwielbiane dziecko kraju, gdzie róże nigdy nie więdną, gdzie takie pieszczotliwe morze i dziewczęta, arlezyanki o szlachetnym profilu transteweranek, pyszne swojem rzymskim pochodzeniem i narbonezyanki o cygańskiej twarzy i tuluzanki lubieżne; gdzie takie głośne pieśni, takie ogniste wino i uściski, takie smaczne granaty i oliwki, a osiołki takie schludne; gdzie mowa taka pełna samogłosek a wyrazy tak malownicze, gdzie *chato* (czato) znaczy dziewczyna, *drôle* chłopiec, gdzie nawet pierwiastek pocałunku: *pou toun* jest odmienny niż w innych językach, gdzie *innoucènt* znaczy: głupi...

Otóż na korzyść południowców, dotkniętych powodzią, obchodzono w Paryżu przez dwa tygodnia Święto Słońca, przeniósłszy tę Prowancyę w miniaturze pod chłodniejsze niebo i mglistsze powietrze.

Znalazło się tedy wszystko po trosze: Estudiantina z Perpignan, rynek z Beaucaire i nadrodańska zagroda *mas*, i model avignionskiego mostu, nawet bajeczny smok Taraska i wielbłąd, sławny wielbłąd Tartaryna, który przepłynął za nim do Marsylii z Algieru, i tancerze i tancerki, uczące paryżan wysnuwać farandolę; jaskrawe barwy sztandarów i strojów, wesołość oczu i języków.

A Prowancya sama smutna; niedawno (31 października 1886 r.) straciła jednego z swych wielkich — Aubanela, drugiego po Mistralu koryfeusza tego odrodzenia prowansalskiej literatury, które się datuje ledwo od lat 30; autora *Pękniętego granatu* i *Dziewcząt z Avignonu*, poety miłości i śmierci, którego zwrotki prawie nie pojmuje się bez śpiewu.

„*Ah! se moun cor avié d'alo...*“ etc. „Gdyby me serce skrzydła miało, Na twoje ramię, szyję białą, Pocałunkami by zleciało“ etc., którego *Venus d'Arle* jest najwspanialszym wyrazem etycznej potęgi piękna, jaki kiedykolwiek wypowiedział artysta. Przekład jest tu świętokradztwem, ciśnie się jednak pod pióro:

. . . .

Jak piękna! Chodźcie ssać, o chodźcie ssać narody
U tych dwu piersi bliźnich miłości i urody.
Ach! W co się zmieni świat, gdy się w nim piękno
[zniszczy:
Niechaj się brzydkie kryje, a piękno niechaj błyszczy.
Zjaw nam ramiona nagle, pierś nagą i bok nagi,
W nagości cała stań niebiańskiej swej powagi.
Piękność cię słoni lepiej, niźli ta szata biała,
Która zazdrośnie tak na biodrach się zebrała
W fałdy i kryje to, co najpiękniejsze w tobie;
Do stóp jej upaść daj!...“

Ta oda do posągu artezyjskiej Wenery jest najlepszą rzeczą Aubanela; uwielbienie ciała kobiety nadało poezyi jego ton tak namiętny, że ostatnią książkę: *Li fiho d'Avignoun* (poeta mieszkał w Avignonie), której *Venus d'Arle* jest fragmentem, wydał jedynie w kilkuset egzemplarzach dla przyjaciół. A poezya ludowa Prowancyi! Kto ją zna? Słuchajcie pouczającej gawędy:

Poszła baba do ogrodu rzepę rwać, Ciągnęła za natkę, ciągnęła za nać, — rzepa jak siedzi, tak siedzi.

Poszedł chłop, za babą w trop i widząc jak się biedzi, pociągnął babę, baba jęła rwać, za natkę, za nać, — rzepa jak siedzi, tak siedzi. Poszedł wół, wziął chłopa w pół, chłop pociągnął babę... itd. itd. Tak przyszły wszystkie zwierzęta, siląc się daremnie, aż „przyszła św...., jednem uderzeniem ryja wyrwała rzepę z ziemi. Gdyby nie św...., siedziałaby w niej rzepa do dziśdnia.“

Ileż tu mądrości dla wszystkich epok i dla wszystkich ludów! Ot, i komitet mickiewiczowski pomnika... lecz nie; choć za przypowieść obrażać się nikt nie ma prawa, mogłaby być uznana zdrożną i nieprzystojną moja niewinna intencya. Raczej zaczerpnę żart z przyzwoitej dziedziny, choć, choć... fatalność! — znów będzie nieprzyzwoity. Praca komitetu była ciężkim połogiem, który nieraz ułatwia się rozcięciem „kwestyi.“ Cóż dziwnego, że do rozcięcia kwestyi konkursu wezwano specyalistę? *)

Egrot.

POEZYA.

TĘDY...

Nie wierzcie lisom sytym, kiedy wam
[dowodzą,
Że najsmaczniejszym kęsem jest gęś —
[malowana;
Nie wierzcie swym kochankom, gdy wam
[zmysły głodzą,
O duchów prawiąc związkach od zmroku
[do rana;
Nie wierzcie ludziom z bladą, wykrzywioną
[twarzą,
Którzy wam na księżycu szukać szczęścia
[każą...

Nie! Bóg nie zrobił życia miejscem prób
[i męki!
Czyliż mógł ludzi karać za grzechy przed-
[bytu? —
Kwiat rajski i na ziemi roztacza swe
[wdzięki;
I ci tylko, co sami doszli do przesytu,
A jeszcze drżą z obawy przed nową po-
[trzebą,
Pragną uciszyć głodnych — przekazem na
[niebo.

Nie! życie takie, jakiem wyszło z ręki Boga,
To nie piekło dla ciała, nie czyściec dla
[duszy...
Różami a nie cierniem kwitnie jego droga...
Miłosne tętna biją w najmroczniejszej
[głuszy,

---

*) Dr Jordan jest jak wiadomo znakomitym krakowskim akuszerem. (*P. R.*)

Kwiat zdrowym tchnie zapachem, pta-
[stwo śpiewa raźnie —
Faryzeusze tylko czynią z życia — kaźnię.

Nie wierzcie im! Łan życia, nakształt
[pszenicznego łanu,
I oko bawi kwieciem i ziarnem głód płoszy;
Każdy zmysł, jako lennik potężnemu panu,
Wypłaca człowiekowi swój haracz roz-
[koszy;
Wrażenia następują, niby drzewa w lesie,
A każde nowy zachwyt, nowe dary niesie.

Istnieć!—jakiż to ogrom skarbów i uciechy!
Co rano senne oczy do słońca otwierać,
Słyszeć hejnał skowronka, srebrne dzia-
[twy śmiechy,
Plony wczorajszych siewów obliczać i zbie-
[rać,
Ptaka myśli wypuszczać na najwyższe
[szczyty,
I wiedzieć, że za chmurą zawsze lśnią
[błękity...

Żyj, znaczy: kochaj, ciesz się, ufaj, bądź
[szczęśliwy.
Stworzyciel nie wymaga więcej od stwo-
[rzenia.
Ptastwem zapełnił puszcze, rzucił kwiat
[na niwy,
Całą ziemię miłości światłem opromienia,
I sam, najwyższym będąc harmonii wy-
[razem,
Pragnie, żeby się wszystko cieszyło z nim
[razem.

Żyj, kochaj, bądź szczęśliwy... A potem
[co? — Potem
Nastąpi, co nastąpić musi. W stworzeń kole
Żadne, życiem się ciesząc, nie rozmyśla
[o tem —
Czemuż ty jeden chmurę masz nosić na
[czole?
Żyj! ciesz się!... Zapisano też w prawach
[żywota,
Że najchętniej w wesołem sercu mieszka
[cnota.

Wiktor Gomulicki.

„WSZYSTKO NAM DAŁEŚ...“

Dałeś nam wszystko, co dać — chciałeś
[Panie!
I grzech i żal i pokutę...
I wszystkich serca drgań rozczarowanie,
I życie bólem zatrute...

Dałeś nam przeszłość bogatą w zawieje,
W gromy, zwycięztwa, wawrzyny,
I miłość dałeś, wiarę i nadzieję,
Lecz — szczęścia... ani kruszyny...*).

*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Miłość sceniczna francuska. — Jek kwestye. — Nicość tych zagadek. — „Żorżetta“ Sardou. — Zmizerowanie uczuć ludzkich. — Wykład Lubbocka. — Obowiązek względem szczęścia. — Prawo i powinność. — Upadek teatru. — Nadzieje karnawałowe.

Wierzę, że miłość jest uczuciem niezmierzonej siły i wagi; wierzę, że w wątku dziejów przewija się ona jako nić pierwszorzędna; wierzę, że z tego źródła wytrysnęły wszystkie strumienie sztuki i literatury pięknej; wierzę, że bez tego pierwiastku historya ludzkości byłaby całkiem inną, uboższą w barwy i blaski, a życie straciłoby swe najpiękniejsze uroki — wierzę w to wszystko, ale i w to również, że miłość sceniczna francuska jest najgłupszą istotą w świecie. Każdy autor wybitniejszy jest naszym wierzycielem, u którego zaciągamy jakąś pożyczkę myśli i uczuć; najgłośniejsi komedyopisarze francuscy są jedynymi, wobec których nie uważałem się nigdy za dłużnika. Gdym czytał lub w teatrze słuchał utworów Dumasa i Sardou, zdawało mi się, że przedemną otwierają swe serca dzicy i co chwila musiałem sobie przypominać, że to są ogniłki wysokiej cywilizacyi. Dla tych zdechlaków nic nie istnieje prócz poplątanych i pokrzyżowanych w ustroju społeczeństwa nerwowego instynktów płciowych. Tu zszargana ladacznica z brylantem miłości dla mężczyzny, tam z perłą miłości dla dziecka, tu wiarołomna żona, tam rozpustny mąż, tu trzech samców około jednej samiczki, tam trzy samiczki około jednego samca, tu dziecko nieprawe płci męzkiej, tam żeńskiej, tu wesele motylów, tam tokowisko cietrzewi — w głowie się kręci od tego piżma duszącego, brudów złoconych obłudą, zakażonych oddechów, a nadewszystko od tych „kwestyj.“ Człowiek ukazuje swój rozum nie tyle w odpowiedziach, ile w pytaniach. Mędrzec może nie nie wiedzieć, ale nie może stawiać niedorzecznych zagadnień. Wolno człowiekowi ukształconemu nie znać przyczyny trzęsienia ziemi, ale nie należy dociekać, czy z tej choroby nie uleczyłaby się ona, zażywszy w krater wulkanu olbrzymią ilość chininy? Wolno nie pojmować duszy, ale nie należy zastanawiać się, ile ona w swej figurze ma kątów ostrych. Pomiędzy zaś kresami głupstwa ludzkiego ciągnie się długa skala stopni pośrednich, pytań płytkich, dziecinnych, niezawierających żadnej zagadkowości — i w podnoszeniu tych właśnie „kwestyj“ celują francuzi. „Kwestyą“ społeczną może być tylko węzeł, zadziergnięty w warunkach życia jednostki, a nie w jej upodobaniach osobistych. Nierozwiązalność małżeństw, niemożność wyżywienia rodziny, brak pracy, przymusy religijne — to są „kwestye,“ ale jaką kwestyę stanowi pytanie: czy niewinna córka Magdaleny pokutującej ma *prawo* (!) do serca mężczyzny, przyzwoitego (i niemal zawsze ilością kruchych miłostek wyrównywającego Magdalenie) oraz czy on *powinien* i *może* poślubić ptaszę gniazda pokalanego? Ile razy, jadąc tramwajem, widzę, jak koń daremnie macha skróconym ogonem dla spędzenia z grzbietu muchy dokuczliwej, zawsze myślę sobie: ten koń ma do rozwiązania kwestyę poważniejszą, niż komedyopisarze francuscy. Jemu bowiem ogon obcięto, a bohaterowie Dumasa i Sardou sami go sobie obcinają. Oto jest np. młodzieniec ukształcony, zacny, nawet zamożny; obok niego dziewica idealna i również bogata. Kochają się, ale przed ślubem wypływa na wierzch, że jedno lub drugie jest dzieckiem nieprawem. Następuje dramat, który wyprowadza matka, ojciec, ciotka, stryj, brat, wuj lub coś podobnego. Te istoty pobożne stwarzają „kwestyę“ ze swych przesądów, wstrętów, uprzedzeń itp. Co dwojgu ludziom zakochanym przeszkadza połączyć się? Czy ich serca, prawa, rozum, obyczaje? Nie, matka lub ciotka. I to jest „kwestya społeczna“! Biedny koniu tramwayowy z obciętym ogonem! Sardou, fabrykant komedyj, osnutych na takiej przędzy, napisał między innemi *Żorżettę*, którą w przekładzie polskim wystawiono na scenie naszej. Skruszona ladacznica, jej córka niewinna i nieznająca grzechów matki, a z drugiej strony marynarz zakochany w niej głęboko, jego matka surowa i oporna temu związkowi, wreszcie stryj zdradzający tajemnicę. Małżeństwo rozwiewa się — czemu? Pytanie to zadano autorowi w Paryżu — ciekawą dał odpowiedź: „Gontran, mający matkę, obowiązki rodzinne, słowem *konieczność* zachowania pewnych *względów*, żenić się nie może...“ Pojmuję dumę ubogiej myśli jakiegoś literata, którego sława najdalszem echem sięga do granic prowincyi lub drobnego kraiku; ale ta francuska bezmyślność, rozbrzmiewająca po całym świecie ucywilizowanym, pyszna swą mądrością i podziwiana, jest jednem z najkomiczniejszych zjawisk naszego stulecia. Głupstwo ma w życiu swoje miejsce i prawa, których mu zaprzeczać nie myślę; ale wolno nam od czasu do czasu poskarżyć się na jego zbyt szerokie rozparcie i tryumfy. Otóż sądzę, że głupstwo teatru francuskiego daje nam często ku temu powód. Jest ono bezczelnem i zręcznem. Zasypało głębię wszystkich wielkich uczuć piaskiem różnych marnych „względów,“ ujęło serce ludzkie w pętlicę konwenansu, nadało moc pobudkom, które jej mieć nie powinny, usidliło wolę człowieka w łykach przesądów, zatamowało swobodne wylewy miłości stawidłami towarzyskiej chińszczyzny — słowem, wyjałowiło grunt duchowy, odciągnęło uwagę ogólną marnościami od zagadnień istotnie poważnych. Ponieważ zaś grunt ten nie jest u nas płodnym, a te zagadnienia dość uwzględniane — więc przyznaję, że każdy wjazd blagi francuskiej na scenę naszą sprawia mi przykrość. Wolę wszystko raczej, nie wyłączając melodramatów, niż te „kwestye“ i „tezy“ teatralne, w których tyle tkwi sensu, ile potu w platynie.

John Lubbock miał niedawno w Preston odczyt o „obowiązku człowieka być szczęśliwym.“ O „obowiązku“ — uważcie — a nie o „prawie.“ Zapewne, o takich powinnościach można mówić w Anglii, ale wywody Lubbocka do pewnego stopnia zachowują swą słuszność i tam, gdzie daleko częstszym obowiązkiem bywa nieszczęście. Istotnie, jak radził już dawno Epikur, Maupertuis, Holbach, Benecke, człowieka trzeba tylko uczyć miar i wag życia, umiejętności oceniania, co dla niego jest dobrem trwalszem i przemiennem, a wtedy on będzie roztropnym, zacnym i szczęśliwym. Niezmiernie łatwem jest do zrozumienia zadanie arytmetyczne, które wykazuje, że kradzież nie zapewnia korzyści, a praca ją zapewnia. Gdyby komedyopisarze francuscy znali i stosowali tylko tę prostą arytmetykę, straciliby dużo „kwestyj,“ ale zyskaliby tyleż istotnych zagadnień życiowych. Dwoje ludzi zakochanych ma „obowiązek uszczęśliwienia się“ nawet wbrew woli papy, mamy, ciotki i stryja, pragnących dogodzić swym kaprysom, jeśli tylko żadne z nich nie krzywdzi nikogo. Lubbock bardzo trafnie uzupełnił naszą etykę. Mówimy zwykle o „prawie“ do szczęścia, on zamiast prawa podstawia powinność, która jest silniejszą. Przypuśćmy, że ów zrozpaczony, którego schwytano w zeszłym tygodniu na moście wiślanym, gdy chciał się utopić z głodu, powiedział: miałem *prawo* do chleba, ale go zdobyć nie mogłem. Prawo do chleba! Bardzo wątpliwe! Ale gdyby ten biedak odrzekł: miałem obowiązek jedzenia, który na mnie włożyła natura, a ponieważ go spełnić nie mogłem, więc chciałem rzucić się do Wisły — byłoby to uzasadnienie słuszne. Podobnież Paula, córka Żorżetty, rozmyślając nad tem, czy ma prawo zaślubić Gontrana, którego jej nie daje matka, stryj, znajomi — jest śmieszną; ale skoro powoła się na obowiązek swego serca — rozetnie węzeł odrazu. Prawami lokomotywy są jej szybry, hamulce i relsy, obowiązkiem — siła pary. Chociażby więc te prawa ją powstrzymały, ona rwać się będzie naprzód. Podobnie człowiek. Nikt sam siebie nie stworzył, nikt sobie nie dał uczuć i pragnień, więc nikt nie może tych swoich powinności wewnętrznych łamać dla lada przesądu, lub grymasu cudzego, dla byle

---

*) Zwracamy uwagę czytelnika na różnicę poglądu dwu poetów w tej samej sprawie. *Red.*

„kwestyi.“ Niech człowieka obstąpią i skrępują wszystkie ustawy, zwyczaje, przepisy światowe, nie zdołają wydrzeć z jego serca obowiązku kochania, czyli dążenia do szczęścia, bo to jest obowiązek jego natury. Może on sam w sobie stłumić to uczucie, ale tylko innym jakimś obowiązkiem wielkiej mocy. Co to wszakże obchodzi p. Sardou i wszystkich fabrykantów libret widowiskowych!

Porównanie czasów obecnych z dawnymi w wielu kierunkach nie wypada na korzyść naszą. Niewątpliwie zaś w teatrze, który coraz bardziej staje się budą jarmarczną, odsuwaną od literatury a zbliżoną do igrzysk. Najgorliwiej pracują nad tem francuzi.

W piersi naszej spoczywa „obowiązek“ karnawałowania; więc pomimo biedy odzywa się zapowiedziami ochoczych zabaw. Najbardziej uczęszczane zwykle bale już haftują rozkosznemi nadziejami marzenia rodu Fikalskich. Ze stanowiska ekonomicznego należałoby tę pajęczynę potargać, ale z etycznego trzeba pozwolić każdemu wybierać sobie szczęście. Jeśli tedy ktoś je widzi w rytmicznym ruchu nóg — niech używa. Zdaje mi się jednak, że „prawa“ do tańcowania w roku bieżącym znacznie zmaleją. Prawem takiem jest przedewszystkiem ów „nerw rzeczy,“ który powszechne niedobory z naszego życia wypruły i ciągle wypruwają — pieniądz. Ulatnia się jak kamfora i niedługo pozostanie tylko zapachem, drażniącym nosy — spuszczone. Podobno lichwiarze ustanowili na bieżące zapusty kurs weksli 100 za 300 i wątpią, czy 200 rs. procentu zrównoważy wielkość ryzyka.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wojna i „polska intryga.“ — Machina wojenna przyszłości. — Nasze tradycye: powinszowania, nekrologi. — Kto zachowawcą. — Sposób podniesienia dochodów propinacyjnych.— Konkurencya konkurom.— Arytmetyczne poświadczenie. — Dyagnoza w *Gazecie radomskiej*

— Czy będzie wojna, czy nie będzie wojny?

— Dla mnie już jest wojna. Zeszłego roku miałem w ostatnich dniach grudnia po sto rubli targu w kiepskim dniu, a dziś najlepszy ledwo 70 rs. mi przyniósł. Wystawy, kiermasze zjadły nam targ przednoworoczny. Tam się publiczność zaopatrywała w podarunki gwiazdkowe...

— Powetujesz pan sobie szkodę, jak będzie wojna.

— Co znowu?

— A prosta rzecz. Któż niepamięta, jaki to ruch pieniężny był w czasie kampanii tureckiej. Ja sam ekspedyowałem wtedy mnóstwo wina i różnych, różnych towarów na południe. Do Warszawy grosz napływał obficie, wszystkiemi szczelinami...

— Bo wojna była daleko. Ale niechby przez nasz kraj przeciągnęła, niechby się nad naszemi głowami dachy na rzeszota zmieniły, niechby nasze pola użyzniły się popiołami budynków, padliną inwentarza i krwią ludzką, niechby ten i ów zobaczył u siebie w domu kordegardę...

Darujcie, nieznajomi przedstawiciele „polskiej intrygi,“ spotkani na którejś z wystaw, że zasłyszany urywek waszej rozmowy przeniosłem na papier. Miał on dla mnie wartość próbki charakterystycznej.

Atmosfera moralna i intelektualna, duszna w całej Europie, u nas bynajmniej lżejszą nie jest, niż gdzieindziej. A jednak, słuchając poszczękiwania gromadzonych pałaszy i szelestu odwodzonych kurków, mało kto z nas oczekuje świeższego powietrza po burzy, która wisi w chmurach polityki. Nieliczni rachują na poprawę interesów materyalnych. Ogół przewiduje tylko klęski powszechne i indywidualne. Więc też gazety niemieckie, wierne swoim względem nas zasadom uczciwości, skarżą „intrygę polską“ o podniecanie do wojny.

Jeremiaszowe farby nie starczyłyby na odmalowanie naszego „widnokręgu“ w razie wojny niemiecko - rosyjskiej, prowadzonej na ziemiach między Bałtykiem a Karpatami leżących. Więc „polska intryga“ zmierza do zakłócenia pokoju!

A co dadzą wojny Europie? Obawiam się, że przyjdą czasy, kiedy stalowe działa, karabiny magazynowe i torpedy okażą się niewystarczającemi, kiedy służba wojskowa, najbardziej powszechna, jeszcze niedostatecznie szeregi zapełni, kiedy konieczność doprowadzi do odkrycia machiny wojennej straszniejszej, bo kolosalniejszej, do której materyał obfity znajduje się oddawna, tylko nie spożytkowany prawie w tym celu.

Roześmiejesz się może, czytelniku, gdy powiem, że machiną tą jest — chińczyk. Roześmiejesz się i będziesz miał słuszność zapewne, jeśli chodzi o wojny najbliższe. Wszakże w tej chwili ukazuję ci widnokręgi mniej więcej dalekie, widnokręgi przyszłości. Niegdyś poczytywano chińczyków za najlichszych żołnierzy. Zdumienie ich, spowodowane niespodzianem wkroczeniem europejczyków, taktyką i bronią udoskonaloną wzięto za wrodzone tchórzostwo. Już wyprawa francuzów do Tonkinu podkopała to błogie mniemanie. A przyjdzie czas, kiedy ukośnooka czterystumilionowa ludność, dusząca się z braku miejsca na swojem terytoryum, topiąca z nędzy swoje dzieci, wyłoni roty najemnych żołdaków tanich, wytrzymałych, karnych, trawionych nienawiścią przeciwko Zachodowi.

Biada Europie, kiedy ta żółta zaraza na jej brzegi zawita! Z mnóstwem, które je mało, pracuje dużo i tanio — współzawodnictwo jest niemożebne. Kwestya robotnicza, dziś dramatyczności pełna, stanie na koturnie tragicznym. Człowieka-europejczyka pokona chińczyk-maszyna łatwiej, niż dziś nasza pszenica i wełna przegrywa w walce z zamorską.

Myśl europejska dąży coraz gwałtowniej do wyzwolenia się ze wszystkich pęt karności przez dawne wieki narzuconej. Praca pisklęcia, przebijającego skorupę, tak siły jego pochłania, że chwili brakuje, aby pomyśleć mogło, co będzie, gdy się ta opiekuńcza dotąd skorupa rozpadnie.

Chińczykowi dzikie rojenia jeszcze nie prędko myśl zmącą. W czterdziestu sześciu traktatach świętej księgi Li-ki wskazał mu Konfucyusz raz na zawsze, o której godzinie ma wstawać, jakie części ubrania po kolei nakładać, jak wiązać trzewiki i pielęgnować warkocz; z niej syn się uczy kroków i ruchów, towarzyszących rannemu powitaniu z rodzicami, pytaniom o ich zdrowie; z niej dowiaduje się, jak ma z uszanowaniem podrapać rodziców w bolące miejsce, jeśli żalą się na jakieś niedomaganie. Tam widzi, jak ma chodzić, mówić, smucić się i cieszyć, jak cierpieć i jak umierać. Kto świętą mądrością nasiąknie, ten umie żyć — nie potrzebuje myśleć.

Cóż to więc za przedziwny robotnik — idealny żołnierz!

A my? My już nawet roku nowego nie umiemy zgodnie z tradycyą obchodzić. W szlafrok schowani — czytamy powinszowania drukowane wierszem, które są po prostu rachunkami do uregulowania za drobne, w ciągu roku otrzymywane posługi.

Cośmy z nekrologami zrobili? Biorę jedno pismo, widzę ogromną, żałobną obwódkę, w niej wielkie głoski obwieszczają stratę niepowetowaną, a mniejsze nieco — lecz w tej samej obwódce reklamowej — zawiadamiają, że dotknięte stratą przedsiębiorstwo toczyć się będzie tą samą koleją, po której toczyło się dotąd. Biorę inną gazetę. Inna obwódka żałobna. W niej po wyliczeniu zasług jakiegoś nieboszczyka, redakcya od siebie daje „nosa“ rodzinie zmarłego, że o swoim bólu nie nadesłała publikacyi. Znowu gdzieindziej nekrologia wielbiąca grzeczność, uczynność, bezinteresowność świeżo zgasłego urzędnika, nadmienia, że dziś coraz rzadsi są tacy... Tu już przynajmniej nie prywatny, tylko społeczny interes piecze się przy ogniu ceremoniału.

Nieostrożni, baczcie, że gdy ceremoniał choruje, to i stare społeczeństwo choruje. Gdy ceremoniał umrze, skonają z nim dzisiejsze kształty istnienia. Co później?

Kto dziś jest u nas zachowawcą prawdziwym, do poświęceń gotowym? Chyba— żydzi. Kuryery doniosły o rzezaku żydowskim, po którego śmierci została krociowa fortuna. Tak społeczeństwo bobrajskie wynagrodziło hojnie sługę swego za skrupulatne pilnowanie rytuału.

W Kocku mieszkał sławny rabin, do którego, jak do świętej krynicy, sączącej stare wino mądrości talmudycznej, tłumy spragnione ciągnęły. Syn rabina trzymał propinacyę w miasteczku. Dobrze się działo rabinowi, dobrze i propinatorowi i miasteczku całemu. Aż nieszczęście mieć chciało, że inny starozakonny na licytacyi publicznej ofiarował cenę wysoką i został propinatorem. Obrażony rabi przeniósł się na mieszkanie do Nowej Aleksandryi. Cóż teraz wart Kock bez sławnego rabina, co warta w nim propinacya? Ustały pobożne pielgrzymki, gmina straciła znaczne dochody — z Kockiem źle się dzieje. Więc ojcowie miasta skłonili nowego propinatora do odstąpienia; nadwyżkę, deklarowaną przezeń na licytacyi, zobowiązują się płacić z własnej kieszeni i ślą deputacyę do N. Aleksandryi, która ma uczonego rabina przebłagać i sprowadzić go z synem napowrót.

Tacy już przynajmniej słusznie zachowawcami się zowią.

Pośród nas ginie tradycya. Uroczym konkurom nawet, ulubionemu tematowi naszych rozrojonych nowelistów i nowelistek zagłada grozi... Trzy „kantory stręczeń małżeństw“ proszą o koncesyę, prześcigając się w obietnicach składania ofiar na cele filantropijne.

Jest przecie konar odwieczny, który jednak wciąż zielonym liściem się okrywa i bujne rodzi owoce. To germanizm, rozsyłający gałązki z każdym rokiem coraz silniejsze. Nie dziwię się nienawiści, rosnącej w sercach jątrzonych klęskami jednej, tryumfami drugiej strony. Cóż, kiedy nienawiść nic nie uratuje! Trzeba skuteczniejszych środków: trzeba przytomności w życiu prywatnem i publicznem, zabiegliwości, sprężystości.

O te przymioty niżsi — stale będziemy tak wyzyskiwani przez niemców, jak, według korespondenta *Tygodnia*, wyzyskiwani są właściciele gruntów bogatych w węgiel, we wsi Niwce, przez zarząd kopalni p. v. Kramsty, rezydujący za granicą. Podług przepisów, czy też podług umowy, mają ci właściciele otrzymywać każdy setny korzec wydobyty. Dla zobopólnej dogodności zamieniono opłatę w naturze na opłatę w pieniądzach. Więc zarząd oblicza wartość wydobytego węgla, podług ksiąg, przechowywanych w Katowicach, za granicą, zatem niepodlegających sprawdzaniu ze strony mieszkańców i podług cen dowolnie stawianych, gdyż zarząd właśnie dla tego nie sprzedaje węgla detalicznie, żeby ceny prawdziwej nie znano, a hurtowne sprzedaże odbywają się za umowami nieujawnianemi. Obliczenia zarządu są wprawdzie poświadczane przez markszajdra rządowego i inżeniera górniczego, ale tylko pod tym względem, że działania arytmetyczne w nich nie zawierają omyłek!

Niewesołe rzeczy cisną się pod pióro. *Gazeta rolnicza*, organ broniący usilnie żywotności *ziemiaństwa*, drukuje galicyjską korespondencyę Sewera, podług której rzeczona warstwa „mimo że posiada wszelkie przymioty: patryotyzm, obywatelskość, uczynność, inteligencyę, energię (?) i szlachetne porywy — jednakże cofa się z każdym rokiem z zajmowanych stanowisk, rozpływając się w innych warstwach narodu," a „proces ten nie jest i *nie może być niczem powstrzymany*."

Kwestya to poruszona nie po raz pierwszy, zasługująca na rozbiór poważny, ile można wyczerpujący i na cyfrach oparty. Takiego rozbioru dotąd nie spotkaliśmy nigdzie. Posępny jest widok padających drzew nawet zmurszałych i przegniłych do rdzenia, lecz dolegliwszą stokroć troska, co na ich miejscu wyrośnie?

K. Zbrucki.

CUDZE GŁOSY.

Słowo warszawskie zamieszcza ciekawy list W. Kalinki do przyjaciela. Autor *Sejmu czteroletniego* tak pisze o swej pracy:

„List twój przyniósł mi pierwszy sąd o mojej książce *) i przyznam się, że mię pocieszył, bo mi się zdawało, że ona tak nudna i głupia, iż nikt jej czytać nie będzie i że imię, które zyskałem poprzednimi tomami, tu na straszną konfuzyę narażone będzie. Żałuję, że wpadłszy na temat ruski, który Cię uniósł, jak step ukraiński kozaka, nie wpomniałeś o 4-tym i 5-tym rozdziale, które właściwie wartość książki stanowią, bom pierwszy dopiero z niewymownym trudem przedarł się przez te gąszcze i chwasty, o których wszyscy bardzo powierzchownie dotąd wspominają, nie przeczytawszy nawet dokładnie rozpraw sejmowych, z których jakoby sprawę zdawali.

Tom trzeci jest obecnie na warsztacie. Zacząłem nad nim laborować, kiedy mię choroba, choć krótka, zupełnie z nóg zwaliła, tak, że nawet tego listu własnoręcznie pisać nie mogę. Każą mi jechać do Kaltenleutgeben, w nadziei, że tamtejszy eskulap Winternitz coś ze starego grata zrobić potrafi. Muszę więc na parę miesięcy odłożyć robotę, w nadziei, że ją odnowię za powrotem.

Księga szósta ma tytuł *Trzeci maj*, przedstawia naprzód zachowanie się Rosyi, następnie opowiada horyzont europejski, wrażenia jego w Warszawie, które ośmieliły do zamachu stanu, następnie rozbiera konstytucyę i opowiada wprowadzenie jej w życie; kończy się z czerwcem 92 roku. Księga siódma ma przedstawić obraz stanu moralnego i społecznego Rzeczypospolitej, którego konkluzyą jest, że z tymi zasobami moralnymi, ekonomicznymi i rządowymi, jakie Rzeczpospolita posiadała, nie była w możności swej niepodległości obronić. Społeczeństwo było rozpieszczone i bezsilne, a jego główną chorobą, przyczyną przyczyn upadku, były jak z jednej strony brak siły rządowej, tak z drugiej rozpróżniaczenie się społeczeństwa. Szlachta, na którą chłop pracował, topiła swój czas i zdolności w nieustającej zabawie, a za jej przykładem poszły po swojemu i miejska i wiejska ludność. Nigdzie tak mało, jak w Polsce wówczas, nie pracowano. Skąd konieczne zubożenie naprzód ekonomiczne, a potem moralne. Czas zabijano gawędą, pijatyką, szulerstwem, tańcami i romansami. Wszyscy świadczą, żeśmy na polu zabawy doszli wówczas do perfekcyi, a że zabawy wymagały pieniędzy, więc trzeba było o nie starać się *per fas et nefas*, dlatego, iżby, otrzymawszy je, zaraz za okno wyrzucić. Hulatyka stała się chorobą tak powszechną, że zaraziła nawet trzeźwiejsze i poważniejsze żywioły miejskie. Nie brakowało zamożnych kupców i bogatych bankierów, ale wszyscy dali się porwać w ten wir taneczny i wszyscy pod koniec Rzeczypospolitej pobankrutowali. Przy tym szale zabawy nie było oczywiście czasu na poważne zajęcie się jakąkolwiek sprawą publiczną. To też robiono wszystko od niechcenia, aby zbyć, tak dobrze w kościele, jak w biurach urzędowych, w wojsku itd. Nie chcę tym obrazem kończyć dzieła, bo wrażenie byłoby zbyt przygnębiające, chcę go raczej postawić przy *Trzecim maju*, iżby wytłomaczyć, dlaczego na nic się nie przydała reforma rządu, skoro o reformie dusz i charakterów nikt nie pomyślał. Na takie choroby ludzie nie mają lekarstwa, tylko Bóg zsyłając krzyże i klęski, umie wypiekać te rany.

Ty, mój drogi, z tradycyi, z opowiadań dziadka twojego wiele z tamtych czasów zachowałeś w pamięci, zwłaszcza też co do waszych prowincyj. Pomyśl, o ile byś mógł uratować od zatraty te twoje wspomnienia i staraj się opisać, jak z upadkiem Rzeczypospolitej powywracały się u nas pańskie fortuny. To pierwsza prośba, którą do Ciebie zanoszę. Druga jest, abyś z książki Kostomarowa: *Poślednije gody Rieczypospolitoj* S. Peters. 1870 roku. (Typografia Suszczynskaho) przetłomaczył dla mnie rozdział VIII p. t.: „Warszawskoje obszczestwo i nrawy wo wremia Sejma," str. 266 — 286. Nic tam właściwie nie znalazłem nowego, bo wszystko wyjątki z dzieł mi znanych, ale że jest razem zebrane, więc chciałbym mieć ten rozdział po polsku, bo mi czytanie rosyjskie niezmiernie wiele czasu zajmuje. Masz na to czasu dwa miesiące, wliczając w to wspomnienia osobiste, o które od Ciebie upominam się.

*) Druga część drugiego tomu *Sejmu czteroletniego*.

O PRAWDĘ.

W artykule p. t. „Dziedziczność i teorya doboru," zamieszczonym niedawno w *Prawdzie*, powiedziano, że odnalezienie 13-go żebra i kości ośrodkowej (*os centrale*) w pokrycie ręki embryona ludzkiego, dwa odkrycia z góry przepowiedziane, są takim tryumfem dla biologii, jakim było niegdyś dla astronomi odszukanie Neptuna na niebie. Porównanie to wywołało artykuł w nr. 50 *Wszechświata* *) p. t. „Przepowiednie naukowe." Sz. autor tego artykułu wskazuje różnicę między astronomią a biologią, zaznacza, że przepowiadanemi odkryciami pochwalić się mogą i inne nauki, a wreszcie zwraca uwagę na „przesadę" w przytoczonem wyżej porównaniu.

Że astronomia i biologia — to dwie różne nauki i że ta ostatnia nie może jeszcze zjawisk ująć w stosunek liczebny, w formułę matematyczną, to chyba spostrzeżenia wcale nie nowe; znane są również dobrze te odkrycia w fizyce, chemii i innych naukach, które mniej lub więcej ściśle z góry przepowiedziano.

Sz. autor tego artykułu nie chce pamiętać (przynajmniej odnośnie do wspomnianego porównania) o tem, że w rozmaitych gałęziach wiedzy mogą być robione, a nawet przepowiadane odkrycia, których znaczenie pozostaje w granicach pewnej specyalnej części tej wiedzy, które nie mają wpływu na sąd o zasadniczych jej teoryach i które dadzą się wytłomaczyć, a czasami i przepowiedzieć przy sprzecznych nawet na te teorye poglądach; takie zaś (nawet nie przepowiadane) odkrycie ma ogromne dla teoretycznej strony nauki znaczenie, które zmusza do zdecydowania się w wyborze między rozmaitymi zasadniczymi poglądami i zapewnia przewagę jednemu z nich. Doświadczenie Foucaulta, dowodzące, że szybkość rozchodzenia się światła w wodzie jest mniejszą niż w powietrzu, nie wychodzi wcale ponad miarę tysiąca innych doświadczeń; ma jednak olbrzymie znaczenie dlatego, że decyduje w wyborze między emisyjną a undulacyjną teoryą światła i tej ostatniej zapewnia zwycięztwo.

Rzecz prosta, że stronnicy jakiejś teoryi bardziej się jeszcze chlubią, jeśli im się udało przepowiedzieć takie kardynalne, decydujące odkrycie na zasadzie rozumowania i wnioskowania ze swojej teoryi, gdyż, jak powiada autor artykułu we *Wszechświecie*, „potwierdzenie wniosków z teoryi wysnutych stanowi jej kamień probierczy."

Odkrycie Neptuna, które samo przez się nie byłoby wybitniejszym wypadkiem od odkrycia innych planet, nietylko jest ważnem dla tego, że było z góry przepowiedzianem i miejsce znajdowania się planety wyliczonem, lecz nabiera olbrzymiego znaczenia przez to, że potwierdza prawo tyczące się ogółu materyi w wszechświecie, prawo powszechnego ciążenia. Z tych względów zgodzić się można z autorem wspomnianego artykułu, gdy wysoko bardzo stawia przepowiednię, tyczącą się Neptuna. „Na tym najwyższym — powiada on — stopniu przepowiedni naukowych, tryumf najwyższy astronomii przypada." (Autor więc sam na innym zupełnie szczeblu stawia tę przepowiednię, niż przepowiednie w chemii lub fizyce).

Zarzut przesady w kwestyonowanem porównaniu byłby uzasadnionym wtedy, gdyby przepowiedziane odkrycie 13-go żebra lub kości ośrodkowej mniejsze miało znaczenie dla zasadniczego dziś prawa biologii, prawa rozwoju, niż odkrycie Neptuna dla praw Newtona. Autor rzeczywiście tak sądzi. Ale zobaczmy, dla czego?

„Przepowiednie, o których mowa — powiada on — polegają na tem ważnem niewątpliwie spostrzeżeniu, że w historyi rozwoju osobnika odtwarza się historya rozwoju danego typu, całego gatunku; rozwój osobnika zarodka jest jakby skróconym i streszczonym obrazem rozwoju gatunku, do którego osobnik należy. Spostrzeżenie to zapewne nabrało istotnej wagi *dopiero pod wpływem nauki Darwina*, ale *w rzeczywistości* dokonanem zostało dawniej, *można więc było też samą przepowiednię już przed Darwinem wypowiedzieć*."

Otóż autor (znany zresztą u nas pracownik na polu fizyki i matematyki) zapomniał widocznie o tem, że dzieło Darwina *O pochodzeniu gatunków* wyszło w r. 1859, zaś broszurka Fr. Müllera p. t. *Für Darwin*, w której po raz pierwszy wygłoszonem zostało przytoczone wyżej (przez Haeckla biogenetycznem nazwane) prawo, wyszła dopiero w r. 1863. Zestawienie chronologiczne i tytuł dziełka chyba już wykazują, że spostrzeżenie, o którem mowa, „w fantazyi" tylko dokonanem zostało przed, „w rzeczywistości" zaś dopiero po wyjściu głównego dzieła Darwina.

Biogenetyczne prawo wyrosło dopiero na gruncie teoryi Darwina, a odkrycie 13-go żebra i kości ośrodkowej, małoznaczne może same przez się, nabierają ogromnego znaczenia przez to, że w świetny sposób potwierdzają tak wspomniane prawo, jak i naukę wielkiego Darwina.

Dosyć przypomnieć sobie, jak uporczywie, ale bezskutecznie biedzono się dawniej, szukając jakiegokolwiek wyjaśnienia stadyów rozwoju zwierząt, stanów poczwarki, larwy itd., żeby przekonać się, że trudno by było „też samą przepowiednię już przed Darwinem wypowiedzieć!"

Ta fatalna pomyłka tłomaczy zupełnie poglądy autora artykułu we *Wszechświecie*. Trzeba umieć objąć okiem dzieje biologii z ostatnich kilkudziesieciu lat, porównać jej stan obecny z poprzednim i przekonać się, ile światła rzuciła nauka Darwina na cały ten obszar wiedzy: wtedy nie uważa się gorących słów w hołdach składanych jego pamięci za „przesadę," a wyrazów prawdziwej czci za retoryczny frazes.

Mieczysław Kaufman.

*) Numer ten doszedł dziś dopiero rąk moich. Stąd tak późne wyjaśnienie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytetom dozwolono zużytkowywać na swoje potrzeby reszty sum asygnowanych na utrzymanie składu osobistego.

Tematy na medale, wyznaczone przez wydział prawny tutejszego uniwersytetu na rok bieżący, są: z en-

cyklopedyi i filozofii prawa, „nauka o źródłach prawa.“ Z historyi przwa rosyjskiego: „znaczenie aktów prawnych epoki moskiewskiej, jako środka poznania historyi prawa rosyjskiego.“ Z prawa publicznego: „przegląd porównawczo-krytyczny dzieł ważniejszych z literatury rosyjskiej w kwestyi nauki polityki.“

Uczniom szkół technicznych udzielone jest odroczenie służby wojskowej, podług wyjaśnienia właściwej władzy, do skończenia 22 lat wieku, następnie są powoływani bez względu, czy otrzymali patent, lub nie.

Losowanie dzieł sztuki odbyło się w tutejszem Towarzystwie zachęty sztuk pięknych w dniu 31 grudnia r. z.

Ze spraw kolejowych. Akcyonaryusze kolei fabryczno-łódzkiej, na zebraniu ogólnem nadzwyczajnem, pod prezydencyą p. J. G. Blocha, d. 29 z. m., upoważnili radę zarządzającą do wypuszczenia nowych obligacyj na milion rubli i zatwierdzili p. Edwarda Jellinka na stanowisku wice-prezesa rady.

Studya nad budową kolei z Warszawy do Radomia zamierzone są na wiosnę r. b.

Budowa kolei między Mohylewem a Żmerynką rozpocząć się ma z wiosną.

O Banku włościańskim w Królestwie dowiadują się *Pet. Wiedom.*, że będzie udzielał pożyczek włościanom pochodzenia rosyjskiego, polskiego i litewskiego, uprawiającym rolę, na kupno wszelkich gruntów, z wyjątkiem takich, które na zasadzie ukazu z d. 19 lutego 1864 r. znajdują się w posiadaniu włościan, albo też obciążone są służebnościami na ich korzyść. Bank pożyczać będzie do 75% wartości szacunkowej gruntu ze swoich funduszów, resztę zaś z „funduszów użyteczności publicznej“ Królestwa.

Jarmark na konie i inwentarz roboczy ma być urządzony w czerwcu na placu Ujazdowskim przez Towarzystwo wyścigów konnych. Opłata za wstęp na plac targowy posłuży do pokrycia wydatków.

Meteorologia. Podług *Gaz. Roln.* ubiegły rok był ostatnim z szeregu lat ciepłych i suchych, rozpoczętego w r. 1881. Obecnie zbliża się okres lat zimnych i mokrych, z chłodnem latem i mroźną zimą. Zima obecna ku końcowi będzie mroźniejsza; śniegi utrzymają się długo. Wiosna, zrazu łagodna, potem przeważnie zimna i niestała, ku końcowi burze, upały i niepogody. Lato z początku gorące, później chłodniejsze i przepadziste. Jesień także. Urodzaje podług p. Ludwika Hervé, agronoma i meteorologa francuskiego (następcy Mathieu de la Drôme), złe będą w krajach na pomo[rzu] północnem, baltyckiem, czarnomorskiem i w Polsce [n]a nieświetne wogóle, z wyjątkiem Węgier i połu[dn]iowych kończyn Europy. Tylko pierwszy zbiór sia[na] będzie obfity. *Gazeta* zachęca do niepozbywania się [zb]oża za jakąbądź cenę, gdyż pokup się zwiększy.

Dyrektorowie polacy. Jedna z fabryk łódzkich posadę dyrektora, dotąd zajmowaną przez niemca, ofiarowała polakowi, praktykantowi swemu, który ukończył zakład specyalny. I druga fabryka pójść ma wkrótce za tym przykładem.

Kasa pomocy dla dziewcząt pracujących. Pisma nasze wznawiają myśl urządzenia kasy na wzór istniejących przy zgromadzeniach rzemieślniczych, kolejach żelaznych i większych fabrykach, dla udzielania zasiłków na koszta leczenia i pogrzebu. Statystyka wskazuje do 16,000 dziewcząt pracujących fizycznie w Warszawie. Przy takiej liczbie mała składka, np. 20 kop. miesięcznie byłaby wystarczająca.

Kolporterya. Dwaj przemysłowcy, pp. Jeske i Szabliński, wnieśli prośbę o koncesyę na towarzystwo akcyjne kolporteryi towarów i książek po kraju. Akcyj ma być 100 po 600 rs. Gdyby podanie zostało nieuwzględnione, ma być utworzona spółka komandytowa.

Lalki wyrobione w fabryce p. Krzesińskiego w Warszawie, nietylko wypierają stąd niemiecki towar, ale według doniesień dzienników, znajdują duży odbyt w Cesarstwie.

Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych zatwierdzone zostało dla Łodzi.

Biuro bezpłatnych porad prawnych mają założyć adwokaci przysięgli w Piotrkowie na mocy zezwolenia, które udzielił tameczny sąd okręgowy.

Z prasy. *Gaz. świąteczna* ogłosiła ponowny konkurs na powiastkę, która ma być humorystyczna, zarazem pouczająca i zrozumiała dla czytelników wiejskich, przydatna do wydrukowania w *Gaz. świątecznej* bez poprawek, zajmować ma 300 do 1,000 wierszy druku (po 20—24 głosek na wiersz) i oryginalna. Termin 1 kwietnia b. r., nagroda 100 rs.

Gaz. przemysłowo-rzemieślnicza dołączyła do pierwszego numeru tegorocznego kolorowany rysunek szafy bibliotecznej w stylu odrodzenia, z dwoma przecięciami i szczegółami. Nadto przyrzeka nagrody za nadsyłanie rysunków odpowiednich do pomieszczenia w *Gazecie.* Jako dodatek książkowy dołącza pierwszy arkusz „Podręcznika geografii powszechnej“ przez W. Niewiadomskiego.

Dziennik łódzki zniżył prenumeratę roczną o czwartą część.

Gazeta lubelska zmieniła redakcyę, którą nadal ma prowadzić p. Bolesław Drue.

Porty nadbaltyckie, skutkiem zmian taryfowych, utraciły dawniejsze znaczenie dla handlu przywozowego, który skupił się natomiast w porcie petersburskim. *Dziennik łódzki* przytacza szereg cyfr z rocznika statystycznego rewelskiego, z których widzimy, że wartość przywozu do Rewla w ciągu lat 1881—1885 spadła ze 107,313,240 rs. na 58,319,527 rs. Jednocześnie wywóz z 23,228,431 rs. spadł do 12,991,803 rs. Z państw, prowadzących handel na Baltyku, Stany Zjednoczone są wypierane systematycznie i coraz bardziej przez Niemcy.

Zmarli. W Kamieńcu Podolskim, Jan Greim, artysta malarz, uczeń akademii monachijskiej i petersburskiej, odznaczony dwoma medalami. Lat 26. W Warszawie znajduje się piękny obraz jego: „Ukrzyżowanie Chrystusa.“

— Matylda Szymanowska, w Chêne pod Genewą, ostatnia z rodu książąt Poniatowskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. H. B. w Warszawie. Ofiarności Pańskiej możemy wskazać inny cel bardzo szlachetny: jest w Warszawie ubogi student, zagrożony suchotami, nie mający za co wyjechać do stacyi leczniczej, koledzy zaś jego ledwie część zapomogi złożyli. Ten przedewszystkiem zasługuje na wsparcie.

P. Stanisł. Z. Nad przewodnikiem tym ciągle pracujemy, ale ponieważ chcemy go uczynić możliwie dobrym, więc opóźniamy wydanie. Jest to zaś praca bardzo uciążliwa.

P. Stan. Lisz. w G. Niegoszewski Stanisław (1565—1599) był sławnym nietylko w Polsce, ale i za granicą z dyspút publicznych, na których wszelkie zadane mu zagadnienia rozwiązywał wierszem w rozmaitych językach. Część prac jego wydano (między innemi *Epigramaty* na cześć Kochanowskiego), wiele rękopisów ma się znajdować w bibliotece petersburskiej.

P. A. Z. w Krakowie. Są rymy i ryimy, jest nawet pomysł dobry (muzyka i dzwony), ale powszedniości więcej, niż poezya znosić może.

P. K. Mosz. Wymaga Pan za wiele. Oczyściwszy w ten sposób język, uczynilibyśmy go niezrozumiałym i ubogim aż do niemożliwości używania, jak niegdyś czesi. *Powietrznik* zamiast *lufcik*, a *cesarka* zamiast *kajzerka.* A cóż zamiast: dach, szlachta, jarmark, folwark, telefon, fizyka itd. itd.?

O g ł o s z e n i a.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe donieśienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Декабря 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.